

# Djabeł, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

# *Djabel*

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA



# TOM III

## I

Wieczorem u pani starościny mołogolskiej, u pani Opeckiej, u hetmanowej Ogińskiej, u wojewodzicowej mścislawskiej, gdzie się zbierało dużo osób z przybyłych do Warszawy i ze dworu, o niczem nie mówiono, tylko o przygodzie owej jenerała i podczaszyca, a trafem dziwnym, wszyscy już powtarzali wierszyki o osobach z którymi byli źle, w zupełnej będąc niewiedomości innych co się do nich samych lub ich stronnictwa stosowały. Powszechnie unoszono się nad dowcipem paszkwilisty, a że z niego zarówno, ze śmiałości wielkiej i z sentymentów jakimi wiersze były na wskrós przejęte, sływał na ówczas szambelan Węgierski, jemu też powszechnie tę sztuczkę przypisywano. Sąd Trembeckiego, który bez ogródki starościca korytnickiego uznał autorem zagadek, wielkiej tu także był wagi. Nie wiadano tylko, kto w tak zuchwały sposób wierszyki te po Warszawie za pomocą jasełek chciał rozpowszechnić, zapewne w celu politycznym. Opowiadanie o szynkowem widowisku w tysiączne ubierane dodatki, a między innemi, że lud oburzonego Bauchera dobrze wyszturgał, wywoływało śmiechy ogólne.

Śmieli się nawet najsrożej pokaleczeni, bo o sobie nie wiedząc jeszcze, cudzej biedzie radzi byli. Z tego powodu i podczaszyc Ordyński grający tu jakąś rolę zwrócił uwagę powszechną. Damy, zwłaszcza te które w tej chwili były niezajęte, przy których sigisbejstwo wakowało przypadkiem, lub aspirantami tylko tymczasowymi zapelnione było, powtarzały sobie na ucho różne wiadomostki o podczaszycu Ordyńskim. Zjawienie się młodego ładnego chłopca ze wsi, w owe czasy powszechnego zepsucia, nie mogło przejść niespostrzeżone. Z początku póki go widywano u boku matki, wydawał się trochę za młodym, i podczaszyna imponowała, ale gdy usłuźni przyjaciele rozgłosili, że bywa u Frascatelli, że go z nią widziano na ulicy nawet, wielkie wrażenie zrobiło to po salonach. Wojewodzicowa mścislawska, która od syna pierwsza się podobno dowiedziała o tem, że podczaszyc do tancerki uczęszcza, odezwała się wieczorem u starościny mołogolskiej:

— Wiecie państwo, że ledwie matka odjechała, już się ten młodzieniaszek w świat puścił, żal mi go bardzo że tak lichy uczynił wybór i myśli śmiecie z ulic wymiatać, szkoda jego młodości!

— Zwłaszcza — dodała gospodyni z ostrym uśmiechem — gdy mu o coś lepszego, przy jego minie i świeżości, niezmiernie byłoby łatwo.

— Zapewne — odpowiedziała księżna — ale jak to raz rzuci się w te niższe klasy towarzystwa, któżby potem chciał po tancerkach zbierać niedogryzki?

— Pozwólcie panie, bym się też za nim ujął trochę, odezwał się przytomny na wieczorze książę Nestor; wiem z pewnością od jenerała Bauchera, że to jeszcze bardzo niewinny i skromny dzieciak. A co się tycze tej tancerki, wszystkim nam wiadomo, że ona do tych dziwnych zaklętych istot należy, na które patrzy się z podziwieniem nie mogąc ich zrozumieć. Naraża się na języki, ale nikt jej nie dowiedzie jednego prawdziwego kochanka.

— Ależ — zawołała gospodyni, wasza księżęca mość dziwnie też jesteście naiwny, że wierzysz cnotce tancerki, która jeździ na wieczorki do księcia podskarbiego!

— Ona jeździ i chodzi wszędzie, gdzie się jej zamarzy — rzekł książę — a z tego co na nią powiadają śmieje się niemniej.

— Porzućto ten przedmiot — przerwała matka — utrzymujesz dziwaczne założenie! Sensu w tem niema!

— Powracam więc *à mes moutons* — dodał książę Nestor — to jest do podczaszyca. Jenerał mi mówił, że dziwny z niego nowicjusz, choć ogromna w nim ochota puszczenia się w świat. Nie brak mu nawet wcale dobrego wychowania, ale nieśmiały. Dobrzebyście panie zrobiły, biorąc na siebie wykrzesanie go i wyrobienie żeń człowieka. Zadanie przykrem by nie było.

Rozmowa toczyła się ciągle po francuzku, a przytomna jej żona posła pruskiego pani Luccesini, piękna Włoszka z czarnemi ognistemi oczyma, słyńca z zalotności, której obojętność męża swobodnie i rozległe dawała pole, słuchała z innemi z podbudzoną ciekawością. Gdy książę Nestor skończył, śmiało odezwała się prosząc go, żeby jej tę osobliwość przyprowadził i zaprezentował.

Nikt się nie dziwił temu, nikt się nie uśmiechnął, kilka innych pań goniących resztkami piękności lub pięknych jeszcze, mimo że wcześniej z wdziękami swemi na świat wybiegły, chórem powtórzyły tę prośbę do księcia za posłową.

— Ale prawdziwie — śmiejąc się odparł piękny generał — mógłbym mu pozazdrościć tytułu ciekawości i takiego szczęścia.

— Rzeczywiście — dodała Lucchesini — przypominam sobie, że go gdzieś już widziałam, bardzo to ładny dzieciak.

— Czy piękniejszym go pani znajduje — szepnął na ucho posłowej księżce — nawet od młodego Ursyna (Oursino).

(Wieść już wtenczas dawała pani Lucchesini znajomego pod tym przydomkiem w świecie, autora *Powrotu posła*).

Włoszka podniosła oczy niezadowolone, jasne, śmiałe na pytającego, i dodała jakby nierozumiejąc:

— Któż to jest Ursyno?

— Posel inflantski.

— Kub...? — śmiejąc się podrzuciła.

— Niech pani przypomni sobie, że jest drugi przecie!

— A! wiem o kim pan mówisz — z równą odwagą, ale ciszej odpowiedziała Lucchesini. — A! a! jakże ich porównywać można: Ursyno choć młody, tyle już przeżył miłostek ile ma lat!!

— Jest nadzieja, że dzisiejsza miłość jego będzie ostatnią — dodał po cichu książe.

— Nie rozumiem mości książe — zimno odpowiedziała posłowa — jak gdybyś mówił po polsku: (*C'est du polonais pour moi*).

Lucchesini, która nic nie umiała po polsku i gniewała się, gdy przy niej mówiono tym językiem, zwykle się w ten sposób wyrażała.

Na tem ogólniejsza przerwała się rozmowa, gdy jak na toż, generał z podчасzycem weszli na pokoje pani starościny.

Dom jej był naówczas jednym z tych salonów prawie codziennie otwartych, gdzie się ludzie wszystkich niemal stronnictw spotykali. Służył on za *rendez-vous* nie jednej zakochanej parze, nie mogącej zejść się gdzie indziej, za plac spotkania nie bijący w oczy potrzebującym widzieć się tajemnie, dokąd każdy dążył pewien, że tam najświeższe plotki i połowę Warszawy znajdzie. Uprzejmość, dowcip gospodyni (Anny ze Scypionów Szaniawskiej), czyniły wieczory jej jednymi z najprzyjemniejszych i najwięcej uczęszczanych. Ton w nich panujący był naturalnie francuzki ówczesny, ale prawdziwie wielkiego świata.

To też najznakomitsze osoby owej epoki wołały tu spędzać godziny wieczorne niż gdzieindziej, a gdy inne paradniejsze salony stały pustką często, tu natłok był zawsze. Każdy przybyły do Warszawy musiał się prezentować starościny, i indygenat otrzymawszy w jej domu, pewnym był przyjęcia u innych. Nie dziw więc że generał przywiódł tu swego protegowanego, by nigdzie nie spodziewał się sam spotkać więcej osób i lepiej rozsluchać czem Warszawa tętniała, a podчасzycowi z tego stanowiska najskuteczniej mógł całe towarzystwo ukazać. Kolacyjki też pani starościny dosyć mu smakowały; nie były to wymyślne przysmaki Lukulla, ale miały staropolską zawiesistość i obfitość, czem się inne pochłubić nie mogły. Generał umiał te przymioty ocenić, gdyż po innych stołach choć wytworne, skąpe bywały półmiski i niedostępne dla wielu, bo o nie prawie bój staczać przychodziło.

Starościna obu przybyłych powitała swoim zwyczajem z godnością a uprzejmie; oczy wszystkich kobiet zwróciły się zaraz na wilka o którym tylko co była mowa, a co tak w porę przyszedł. Wilk nasz wydał się im czem był w istocie, wielce powabnym, pięknym młodym chłopakiem, którego resztką nieśmiałości dziecinnej jeszcze wdzięczniejszym uczyniła. Zewsząd się piękne oczki trochę bezwstydnie zwróciły ku niemu, a generał który tego zaraz jakoś dostrzegł, westchnął pomrukując: *O aurea juvenus!*

Ten który był celem tak ognistych napaści, najmniej się ich domyślał: zatrzymała go zaraz przy sobie księżna wojewodzicowa, na którą aż strasznie ramionami ruszać zaczęto w młodym kątku, że tak świeżuchnego kawalera na szczątki swych trędowatych wdzięków zwabić chciała. Jej żywa i ośmielająca rozmowa, dowcip szyderski, gwałtowna chęć podobania się, której już małowczko czasu do popisu zostawało — uwięziła na chwilę podчасzycę. Pragnął może przejść gdzieindziej, spotykając i czarne ogniste oczy Lucchesini

ku sobie zwrócone znacząco i kilka par różnych odcieni wejrzeń szukających oka jego, promieniejących zalotnością, melancholją, wesołością, obietnicami — ale grzeczność go nie puszczała. Nareszcie gospodyni zrzuciła z niego te kajdany, powołując ku sobie i niecierpliwej przedstawując Włoszce.

Szczęściem, tego wieczora posła inflantskiego nie było, zatrzymali go Mostowscy; Lucchesini więc zagarnęła podczaszyca i schwyciła jak swego — nic jej nie przeszkadzało.

— Teraz już — szepnął generał — choćby go starościna spróbowała przywołać, z tych pięknych łapek nie tak się łatwo da odebrać jak od ks. wojewodzicowej!!

Mienia się czasy i obyczaje: dziś, pomimo licznych może wyjątków, trudnoby pojąć jak gwałtowny szturm przypuściła Włoszka do młodzieńca, którego od razu jednego wieczora wziąć chciała. Co dziwniejsza! nikomu się to nadzwyczajnie nie wydawało, choć biło w oczy szkaradnie; jedna tylko wojewodzicowa szemrała na bezwstydną. Co na ten napad poszło słów, zapytań, odpowiedzi i wejrzeń strzelistych, wejrzeń co aż do dna duszy zagłądały — wyliczyć niepodobna. Niktby się nim nie oparł, cóż dopiero młody, niedoświadczony i wcześniej przygotowany do upadku Ordyński?

Osobliwszy to był charakter kobiecy; w niej miłość i miłostki, raczej z namiętnego usposobienia niżeli z serca i potrzeby uczucia płynęły. Fantastyczna, niestała, porywca, poświęcająca się dziś, by jutro wyrzucić ofiarę którą uczyniła, łatwo gniewliwa, gwałtowna do szaleństwa, mogłaby być znużyć najwytrwalsze przywiązanie, gdyby go nie rozdrażniała co chwila tysiącem nowych wdzięków, w które ją każdy nowy wybuch przystrajał. Ze wszystkimi wadami wieku, z zalotnością obyczajów ówczesnych, łączyła dumę jakąś, ambicją i ogień sobie tylko właściwy.

Był to więc szatan przebrany w suknię kobiecą, rzucający ludźmi jak dziecię zabawką, stworzony na męczarnie dla siebie i drugich. Olbrzymi egoizm podnosił wszystkie jej wady do tego stopnia, na którym się one już człowiekowi nigdy błędami pokazać nie mogą. W przekonaniu swem zawsze niewinna, wiecznie była ofiarą.

W pierwszej chwili przedstawiła się Ordyńskiemu w postaci kobiety czulej i łagodnej — była to zwykła jej fizjognomia zapoznania, zdawała się nią ośmielać, by przybliżyć i pociągnąć ku sobie. Oczy jej patrzyły miłuchno, usta mówiły słodko, czoło oblewało się mgłą tęsknoty i pragnienia nienasyconego, ale to była tylko pierwsza maska, którą rychło zrzuciła piękna Włoszka, ze zręcznością szatańską przechodząc stopniami powoli do coraz wybitniejszych rysów, w których gwałtowna namiętność, chęć władania, a często i gniew panował.

Tego wieczora, wszystkich jej dobrych znajomych uderzyła ta słodycz nadzwyczajna i powolność, któremi się dla Ordyńskiego osłoniła. Nie gniewała się że w koło niej ten i ów po polsku przemówił jak zwykle, nie wylażała nikogo, nie wstrząsała się na każde skrzyknięcie paryskich trzewików księcia Nestora, które było dla niej nieznośne. Rozmowa poczęła się od matki podczaszyca i Włoch o których z tęsknotą mówiła piękna ich córka, przeszli potem do Warszawy, do dworu, do tych ogólników pod które podłożyć można wszelką myśl jaką kto chce; których obcy słuchają nierozumiejąc, a jeden tylko pojmuje prawdziwe znaczenie. Są to słowa skelety, na których rozwieszono wzrok, uśmiech, niepostrzeżony ruch i drgnienie, właściwe dają im życie.

— Pan musisz być bardzo ztęskniony za matką i ogłuszony tą wrzawą tak nową dla siebie? — spytała Lucchesini podczaszyca.

— Patrzę, słucham, dziwuję się — odpowiedział Ordyński — jestem wszystkiemu nowy.

— Zazdroszczę panu tych uczuć — rzekła Lucchesini, bo dla mnie wasza Warszawa tak już w krótkim czasie stała się znajomą i nieciekawą! Tak mi tu między wami za moją tęskno ojczyzną!

— Wątpię, by pani braknąć mogło towarzystwa i wielbicieli — dodał podczaszyca, ośmielony jej wzrokiem.

— O! niczego mi nie braknie, nawet tego sprzętu, który pan zowiesz wielbicielami, ale to wszystko tak nudne i pospolite. Ja lubię młodość, a tu i młodzi są starymi.

Podczaszyca przypomniał sobie rozmowę z Frascatellą i coś w niej do tych słów podobnego; schodziły się dwie Włoszki na jedno prawie wyrażenie, ale czy z jedną w istocie myślą?

— Najnudniejsze w świecie wiodę życie w Warszawie — dodała pani Lucchesini — mąż mój, jako dyplomata, nieustannie zajęty ledwo go raz w miesiąc w cudzym domu spotkać mi się uda, towarzystwo poufalsze mam nie wielkie, a w waszym świecie polskim, tak wszystko nieznośne po polsku!

Ta impertynencja naówczas była tak w tonie zwykłych rozmów, że uszłaby nawet w ustach każdej Polki; podczaszyc więc nie biorąc jej za złe, tylko się uśmiechnął.

— Przyznaj jednak pani — dodał — że robimy co tylko możemy, by się z naszego barbarzyństwa otrząsnąć.

— Może być, ale że waszego *wczoraj* nie znam, a *dzisiaj* nie mam z czem porównywać, ten postęp wydaje mi się jeszcze bardzo chyba niedostrzeżonym...

— Więc Warszawa nie miała szczęścia podobać się pani? — zapytał podczaszyc coraz bardziej pociągany płomienistym jej wzrokiem. — Szkoda! zawsześmy uchodzili za gościnnych, przykro nam będzie jeśli wrażenie jakie ztąd wywieziesz pani, naszym chęciom nie odpowie.

— Zresztą — poprawując się przemówiła Lucchesini — alboż wiem jeszcze jakie ztąd wrażenie wywozę, czekam i patrzę, patrzę i czekam dotąd.

To czekam — pełnem było obietnic; zrozumiał je dobrze choć niedoświadczony Ordyński i już miał odpowiedzieć zbierając się na odwagę, gdy druga z tych pań co na niego czatowały przysunęła się do rozmawiających jeszcze śmieiej, jeszcze dziwniej porywając się na podczaszyc.

Była to piękna blondynka, od lat trzech dopiero zamężna, której puder modny bardzo był do twarzy — bieluchna, świeża, rumiana, rzekłbyś, łagodna jak baranek. Jedna to była z tych mnóstwa pięknych starośnin, w które Warszawa obfitowała za Stanisława Augusta, które wszyscy kochali poczynając od króla, które malował każdy artysta, wielbił każdy młody; jedna z tych, co umiały doskonale wszystkim być mile, nikogo nie zrażać, każdemu jakąś cząstkę nadziei wydzielając za dobre chęci.

— Podczaszycu — zawołała wpadając między niego a panią posłowę ze szczególniejszą odwagą (była mu już trochę znajomą z widzenia) — czy to prawda, jak mówią, żeś się już zakochał?

— Ja? — płonąc się zmięszany rzekł podczaszyc — ja pani?

— Nie byłoby nic nadzwyczajnego! — przechodząc w dumny tonik przerwała Lucchesini.

— Tak jest pan, pan, przyznaj się przynajmniej szczerze, będziemy wiedziały czego się trzymać — dodała roztrzępana blondynka, rzucając okiem na posłowę z minką wiele znaczącą.

— Alem ja jeszcze nie miał czasu rozpatrzeć się w Warszawie i pomyśleć o wyborze!

— A! a! — zaśmiała się perłowemi ząbkami starościna — alboż to miłość myślisz pan sobie wybierać jak aksamit na suknię?

— Przyznam się pani, że o tem zakochaniu mojem nie wiem jeszcze.

— Bądź pan z nami szczerzy! — nalegała blondynka.

— Prawdziwie, gdybym wiedział do czego mi się pani przyznać każe!

— Ale my już wszystko a wszystko wiemy — mówiła żywo nie dając się wmięszać Włoszce starościna, a jakże nie mamy wiedzieć, kiedy się kto tak mało strzeże i po ulicach swoje tryumfy oprowadza!

— Rozumiem nareszcie — odezwał się podczaszyc, widząc, że się potrzeba stanowczo wywikłać z tych zapytań, którym, ze wszech stron badające spojrzenia towarzyszyły. Dziś rano spotkałem na ulicy tancerkę Frascatellę, musiano mnie z nią zobaczyć, i ztąd cała plotka?

— Ale czyż tylko plotka? — zapytała natarczywie blondynka. Lucchesini także wlepiła w niego czarne swe oczy z zapytaniem niemem.

— Dotąd jest to plotka nic więcej, uśmiechając się odpowiedział Ordyński, ale za dalej nie ręcę...

— Prawdziwie — przerwała starościna zaczynając się bawić wachlarzykiem — gdyby to plotką być przestało, wstydby nam było wszystkim wiele nas tu jest, żebyś też pan z tylu pięknych kobiet wyższego towarzystwa w całej Warszawie, nie umiał sobie wybrać i zszedł od razu na tancerkę! to dobre na koniec, dla Bauchera, dla podskarbiego, pan wart jesteś coś lepszego!

— A bezwstydnica! — ścinając zęby mruknęła z gniewem tłumionym Lucchesini.

Blondynka zdawała się na poruszenia posłowej nie zważać, i chwyciła podczaszyca za rękę.

— Doprawdy — rzekła — nie gniewaj się pan, ale nie chcemy byś wpadł w ręce tanecznicy i śpiewaczki, nie jedna z nas gotowaby się poświęcić, by go wydrzeć z niebezpiecznych szponów drapieżnego tego zwierzątka.

— Oszałała! *mais elle est devenue folle* — w duchu mówiła Lucchesini.

Podczaszyc pomiędzy temi dwiema pięknościami stał odurzony nie wiedząc co począć, wahając się ku której miało pójść serce jego, gdy właśnie w tej chwili stanowczej nadeszła trzecia.

Sławna to była piękność i nie mniej głośna zalotnica, którą już był pierwszy jej mąż podujnowawszy się oddał za trzykroć sto tysięcy drugiemu, wielkiemu a obojętnemu panu. Rozwód, znowu miał ją jak było słyhać, uwolnić od tego związku, a w miejsce jednego, kilku już miała ubiegających się o jej rękę, wdzięki i dobra wytargowane na dwóch małżonkach.

Istotnie, piękna była jak anioł, gdyby tu tego porównania użyć się godziło, i miała ten rodzaj fizjognomji zwodniczej, pod którą rzekłbyś mieszkać powinny wszystkie cnoty i wszystek rozum tego świata. W spokojnym jej obliczu Rafaelowskiej Madonny czytałeś coś chciala, a w oczach jej ulgnąwszy można było przemarzyć lata, prześnić wieki. Cóż kiedy ta twarz tak okrutnie kłamała!

Najpospolitsza z kobiet, ledwie miała trochę poloru, który nadaje wprawę w towarzyskim życiu, nie wiele dowcipu, nic serca, ale za to odwagę jaką ją obdarzała piękność cudna i tę pewność siebie, której nabyła widząc u swych kolan co żyło, palące ofiary. Ćmiła ona w istocie twarzą nieco wschodniego typu co się tylko najpiękniejszego ukazywało, i panowała jak królowa w tym wieńcu, którym skroń swoją zdobiła Stanisławowska Warszawa. Nie było poety, któryby jej nie śpiewał, młodzieńca i starca coby do niej nie wzdychał, a w zgromadzeniach ile było oczu, wszystkie się ku niej zwracały. Piękna ta laleczka, w takiej tylko epoce jak ówczesna tak powszechnie ubóstwianą być mogła, gdyż każde słowo z ust jej wychodzące, powoli rozczarowywało.

Ta trzecia zbliżyła się także, zdala już wzrokiem krępując przyszłego niewolnika, chciała tryumfu i była go pewną.

— Podczaszycu — odezwała się z góry — matka mi waćpana poleciła w opiekę; pięknie jej jesteś posłuszny, wszak od jej wyjazdu ani razu nie byłeś u mnie.

— A! pani! czuję żem winien — grzecznie odpowiedział zagadnięty — ale generał Baucher wszystkimi krokami memi kierował, nie dał mi się ruszyć samemu, niech zaświadczy.

— I on to zapewne — dodała piękność — zrobił panu tę znajomość z tanecznicą — fe! zostaw to pan starym naszym weteranom!

Podczaszyc się zarumienił.

— Prawdziwie — rzekł — nie tylem winien, ile się zdaje.

— Waćpan — przerwała nie słuchając nawet usprawiedliwienia piękna pani — odprowadzisz mnie dziś do domu... mam mu coś od matki powiedzieć... miałam list od niej...

To rzekłszy odwróciła się majestatycznie i wiedząc że zwyciężyła, że się na nią wściekać będą, rzuciła podczaszyca na resztę wieczora pastwą swoim rywalkom, które z trudnością w uśmiechach gniew tłumili. Lucchesini przysunęła się do starościny szepcząc do niej żywo.

— Widziałaś pani co podobnego! kazała mu się odprowadzić! *C'est joli!*

— Bezwstydnia! — podchwyciła z kolei blondynka, zżymając białemi ramionami — tak jest pewną siebie, że byle skinęła, weźmie kogo zechce! Głupi ci mężczyźni!

— Prawdziwie — z przymuszonym uśmiechem kończyła posłowa — byłby to dobry, miłosierny uczynek, gdyby jej kto podczaszyca schwytał! i figiel nieoceniony.

Spojrzały sobie w oczy — jedna myśl w nich błyskała — zamilkły bo się doskonale rozumiały. Blondynka zwróciła się żywo ku młodemu człowiekowi, znów poczynając ścigać go prześladowaniem i pół słówkami, z drugiej strony nie rzucała go Lucchesini, podczaszyc stracił głowę i oszałał. W sercu jego były się podniecone uczucia, myśli wrzące

prześladowały głowę, oczy błąkały się z jednej twarzyczki na drugą, nie wiedząc na której spocząć miały, szalał aż cierpiał.

W tem jenerał podszedł ku niemu cicho.

— Winszuję ci — rzekł zniżając głos — trzy najpiękniejsze kobiety ubiegają się o ciebie, szczęśliwy! Wszystko to potroszę winienieś Frascatelli. Chcesz mnie posłuchać, wybierz sobie na początek starościny; ładna i dobra kobiecina choć trochę kapryśna, ale która z nich niema much w nosie? Lucchesini djabeł, popędliwa, nieznośna, a ma już posła inflantskiego, z którym byś się rozprawić musiał. A że to poeta ciąłby cię podwójnie szpadą i piórem. Od szabli kresa zarośnie, a atrament plama niezmyta! Męża nie liczę bo to minister, myśli o traktatach nie o żonie. Wielka ta pani ma tylko kaprys do asindzieja, proszę się nie urażać, potem cię porzuci, a jegomości darmo i pycha i serce boleć będą. Strzeż się jej, to stworzenie *sine corde!* prawda że lalczka cudna, ale co z tego? starościna także ślicznotka i jak ułał dla ciebie.

Takie to były nauki jakimi karmiono podczaszyca, takie początki jego na tym świecie do którego wzdychał. Na ów wiek, w tem wszystkim nie było nic dziwnego, nic bezwstydnego, bo obyczaje doszły do tego stopnia rozwiązłości, że się już wstydzic nie umiano.

## II

Oddawszy karetę swojej jenerałowi, podczaszyc pod koniec wieczora podał rękę pięknej pani, która biorąc ją powiodła okiem po posłowej, starościnie i reszcie dam, ukłonem lekkim pożegnała wszystkich i powolnie w tryumfie wyszła z wybranym swoim. Jenerał się uśmiechnął rozstając się ze swoim pupilem, wykrzyknawszy tylko:

— Ba! ba! żeby mi kto choć raz jeszcze wrócił młodość moją, ofiarowałbym się trzy całe dni pościć o chlebie i wodzie.

Że późno już dość było, powoli wszyscy się rozjeżdżać zaczęli, i starościna, która miała to w swoim charakterze, że się łatwo zrazić nie dawała, karcie swojej w ślad za pierwszą uważając Ordyńskiego jechać kazała, ażeby się dowodnie przekonać jak też długo podczaszyc zatrzymany zostanie u pięknej pani, która mu list od matki tłómaczyć miała. Stangreci ówczesni dobrze się na podobnych znali poleceniach, i sługa starościny spełnił roztropnie i zręcznie jej rozkaz, a dojechawszy do pałacu w którego dziedziniec wtoczyła się karetą, przyzastanowił się z boku za pociągnięciem sznura.

Starościna nie lękając się dość ostrego powietrza, piękną swą twarzyczkę przyłożyła do wpół podniesionego okna powozu i z natężonym wzrokiem postanowiła czekać podczaszyca, który nad spodziewanie prędko ukazał się w futrze pieszo we wrotach, przyglądając się czy gdzie fiakra nie zobaczy.

— Rozpoznawszy go instynktem, starościna kazała podjechać i drzwiczki otworzyć.

— Siadaj pan — odezwała śmiejąc się.

Ordyński osłupiał.

— Pani tu, jakim przypadkiem? — zapytał.

— Żadnym przypadkiem, najumyślniej w świecie, chciałam się przekonać, jak długo państwo czytać będziecie ów list podczaszycej. Ale widzę że pana zwiedli, próżnąś tylko warte odbył, bo i bez niego bezpiecznie by była do domu zjechać mogła, niktby karetę nie napadł; nie zięb-że się pan na próżno, siadaj, ja cię odwiozę.

— Ale to być nie może! ja mieszkam tak daleko!

— To być może i to być musi — odparła blondynka, ja tak chcę i każę.

Podczaszyc dał się przekonać jak dziecko, karetą zamknęła się za nim i zostali sam na sam we dwoje. Młody człowiek powoli co raz mniej dziwować się poczynął temu natarczywemu zalotnictwu pięknych pań, i śmiał się po trochę ze swego położenia.

Tymczasem dowcipna, żywa i kapryśna starościna korzystając z chwili swobodnej, usiłowała go spętać i rzucić pod piękne swe nóżki. Co tylko może dowcip, zalotność, młodość, wdzięk i szal zazdrości, wszystkiego użyła, by jutro do niej powrócić zapragnął i zapisał się jawnie w poczet jej wielbicieli; nie tyle jej może szło o zdobycz samą, co o rozgłos który mieć mogła, o tryumf nad ową pięknoscią i czarnymi oczyma Lucchesiniowej, których pochwały srodze ją niecierpliwiły — miała bowiem śliczne niebieskie!



Anusia, Frascatella, Lucchesini i ostatnia nawet majestatyczna piękność, wszystko się zatarło wśród tej przejażdżki, która trwając krótko znaczyła tak wiele, że podczaszyc wysiadając i całując rączkę ściskającej dłoń jego blondynki, uczuł się związanym nieodwołanie.

— Jutro na obiad do mnie — szepnęła mu po cichu — wieczorem razem pojedziemy do pani Opeckiej, będziesz mi pan służył za *cavaliere servente*. Słyszysz pan? proszę go o to i nie chcę być zawiedziona! Jutro cały dzień panu zabieram, caluteńki!

— Pilno mi świtu i jutro doczekać! — odpowiedział Ordyński rozmiłowany i pałający. Nie chybię, chyba bym umarł z nadziei!

— A! na Boga nie umierajże mi pan — odpowiedziała starościna. — Z nadziei niema zwyczaju umierać, a ja chcę byś żył dla mnie! — dodała po cichu ściskając go raz jeszcze ręką drżącą — do jutra, do jutra!

Kareta szybko się od wrót zawróciła, a Ordyński pozostał jeszcze jak przybity do miejsca, nie wiedząc co się z nim działo, gdy uczuł lekkie ręki ścisnienie i po księżycu ujrzał djabelskie oblicze cavaliere Fotofero, kłaniającego mu się z uśmiechem powinszowania i wymuszonej grzeczności.

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale się już podczaszyc z temi rysami co go tak przerażały w początku, oswoił, i nie doznał teraz, może w skutek unoszącego uczucia, bolesnego, przykrego wrażenia jakie na nim ta twarz czyniła gdy ją pierwszych razy kilka zobaczył. Zdziwił się trochę, wzdrygnął, bo po ślicznych kobiecych twarzyczkach trzech piękności, ujrzeć takich rysów nie można było bez wstępu, ale zniósł to jakoś wesoło. Świat mu się uśmiechał i djabeł — nie wydał tak czarnym. Cavaliere Fotofero patrzył mu w oczy i kiwał głową.

— A widzisz pan — mówił — że i z moją szpetną twarzą oswoić się przecie można, już w panu nie widzę dziś tego wstępu co wprzód i winszuję, że się powoli otrząsasz z dziecinnych przywidzeń! Łupina może być czarna, a orzech smaczny — dodał axioma-tycznie.

Podczaszyc uśmiechnął się sam nie wiedząc dla czego, ale serce mu się śmiało.

— Ślicznie, wesoło, po młodemu, poczynasz pan życie — rzekł Fotofero — ot tak to lubię! Frascatella, Lucchesini... ta pani starościna... jest w czem wybierać! Zresztą, po co wybierać kiedy wszystko zagarnąć można.

I rozśmiał się znowu osobliwym jakimś śmiechem, który jakkolwiek cichy, zdawał się po pustych daleko rozlegać ulicach i rozlatywać w powietrzu powtarzany ech tysiadcem.

Ordyński nie uchodził, sam sobie wyrzucał swój strach dawniejszy i dawał mówić Włochowi, słuchając go z zajęciem. Zdziwiło go tylko, że tak doskonale o najświeższych wiedział wypadkach.

— Cóż to? pan chyba każdy krok mój śledzić musisz? wiesz tak dobrze wszystko.

— Wszyściuteńko — odparł Fotofero mrugając wypukłymi oczyma — a później jeszcze przekonasz się pan że i na wiele przydać się mogę, osobliwie jak pan młodemu... Panu brak doświadczenia: Poinot nie znał obyczajów naszych, generał myśli tylko gdzie co zjeść, zostawiony jesteś własnym siłom, serdecznie mi cię żal podczaszycu i gdybyś chciał doprawdy... ale widzę że się już marszczyć zaczynasz.

— Ja i owszem, słucham z wdzięcznością!

— Słuchasz a nie ufasz.

— Czemuż bym miał od nieufności zaczynać?

— Powtarzam, mógłbym się przydać bardzo.

— Wszak i pan tu jesteś obcym.

— Ja? ja nigdzie obcym nie jestem, obywatel świata, wszędzie jestem jak u siebie. Warszawę znam od pewnego czasu, i wyznaję że mi się teraz wcale podobać zaczyna. Jest to stolica po mojej myśli. Grają grubo, szaleją, piją, hulają, kochają się — ja to lubię, potrzeba życia używać.

Podczaszyc spojrzął z ukosa na dziwnego towarzysza z jakąś niedowierzającą miną, obawiał się czy nie żartuje.

— Panu nic nie brak, byś tu wielkie miał powodzenie — kończył cavaliere — jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany, bogaty i dobrego imienia; lubił bym być w pań-

skiej skórze. Tylko mi się pan nie złap na jaką długą sentymentalną miłość, to wycieńcza i ogłupia... O Anusi spodziewam się żeś pan zapomniał — podszeptał w końcu.

— Co? o jakiej? — zdziwiony coraz bardziej, zapytał, cofając się prawie z przerażeniem podczaszyc.

— Zapomniałeś pan, że ja doskonale i oddawna znam Głuszę, łatwo bardzo domyśleć się mogłem co się tam święciło między Anusią a panem.

— Ale nie! nie! to przywidzenie! smutnie jakoś przerwał Ordyński z westchnieniem mimowolnym ku Głuszy, które go zachmurzyło.

— Niech nie będzie, to lepiej — odparł cavaliere; Frascatella także dziwaczna, nie dla pana wcale, mówią nawet że poczciwa, to jest głupia, nie ma tam po co chodzić... Z tych pań będziesz sobie brał po kolei jaką zamyślisz, to rzecz nie trudna — jak grzyby z koszyka... Dobra noc, dobra noc.

Rozśmiał się znów po swojemu, aż podczaszyc się wzdrygnął, uklonił nisko i zniknął tak szybko, że Ordyński nie mógł nawet dostrzedz, w którą uszedł stronę.

### III

My się na chwilę teraz przenieśmy do pustej Głuszy, w której od śmierci staruszki ciężki osiadł smutek i pustka grobowa. Odjazd Michała, nagły prawie zgon starościny, osierociły piękny pałac i zawczasu dozwoliły pająkom snuć nici zapowiadające długie ich panowanie. Ten niedawno jeszcze tak świetny dwór, milczał teraz z pozamykanymi okienicami i drzwiami, stojąc jak zakłęte zamczysko. Kilku pozostałych sług rzadko przesunęli się od oficyn, w pałacu nikt nie mieszkał, a stary Sieniński nie miał serca zajrzeć do pokojów od czasu pogrzebu starościny.

— Podczaszyna nie powróci, kto wie co będzie z naszym paniczem — pustką to zostanie jak tyle innych gmachów u nas — aż się serce kraje, nie chciałby człek na to i patrzeć. Pan Bóg mnie pokarał za Francuzów, widać że ich tyle nakłął, lichy ich wzięło, ale i nam przeto nie lepiej! — mówił stary.

Obchodził on raz w dzień z obowiązku powierzone mu drzwi, dawał klucze do środka zaufanym, ale sam ni razu we wnętrzu nogą nie postąpił, tak mu serce bolało patrząc na tę śmierć powolną miejsc do których się tak przywiązał. Powoli i on też coraz martwiał, milknął, posępniał i zamierał. I nie było nikogo co by go odżywił. Anusia w żałobnej sukni chodziła po staroście, w żałobnych myślach po podczaszycu — tęsknota z niepokojem dręczyła ją razem. Siadali z ojcem i wdychali oboje, rzadko słowem odezwało się które by poskarżyć.

Ojcu żal było więdnącej córki, córce ojca i kogoś jeszcze. Dnie szły na ślimaku nudne i posępne: budzili się bez ochoty do życia, zasypiali w trwogach i nudzie. Stary ksiądz kanonik rzadko zawitał do Głuszy, bo mu wiek wycieczek dalszych nie pozwalał; zresztą Sieniński mało miał przyjaciół, nie żył z nikim prawie, a że był skąpy, nie bardzo kto się do niego pokwapił. Wabiły by młodzież piękne oczy Anusi, ale coś przebąkiwano o niej różnie, ludzie dopatryli się byli szeptów z paniczem i roznieśli je na językach; inni mieli ją za wielką panią, że się przy staroście i podczaszynie wychowała, ostatnich wreszcie smutek i obojętność odstręczały.

Dość, że po opuszczeniu Głuszy zostało ich dwoje na tych ruinach, tak samotnych jak dwa na starym dębie puszczyki.

Raz na dzień w południe, a i to nie bez wewnętrznego drżenia, szła Anusia do pokojów zmarłej starościny z Agatką, bo tam jeszcze po niej sprzęt, oprócz tego co komu oddać przeznaczyla, nienaruszony pozostał. Tu klękała przed ołtarzykiem i mówiła Anioł Pański za jej duszę, a ile razy przeszła pokoje osierocone, gorzko zapłakała po umarłej. Smutne to były te izdebki w których jeszcze tyle śladów ubiegłego pozostawało życia, a nic go już obudzić nie mogło. W pośrodku krzesło staruszki, jej stół okrągły okryty makatą, wielka księga pełna obrazków, na których ręką nieboszczki pozapisywane były prośby o modlitwy za jej duszę; jej wazoniki na oknie powiędłe, na posadzce ścieżka wydeptana krokami zawsze w jednym kierunku wiodącemi ją do starych sprzętów, od łóżka do krzesła, od krzesła do kantorka i ołtarzyka. Tu i ówdzie drobne ale przejmujące wyrazem pamiąteczki. Palma zatknięta za zwierciadło, kartka za obrazem przypięta dla odżegnania chmury, talia

kart polskich jej ręką związana, stare jej okulary, wytarta poduszka i zegar gdański, co w godzinę jej śmierci stanął znużony, niechcąc iść więcej dla obcych.

Anusia karmiła się chwilę tą żalobą wymowną, popłakała i odchodziła ze spuszczoną głową, ze smutkiem w rozżalanej duszy, powtarzając biedna:

— Nigdy! nigdy to już nie wróci!

I we dwoje potem zasiadali z ojcem w pokoiku drugiej przeciwległej oficyny, na całe dni westchnień i milczenia.

— Jak się to przeraźliwie długie wyda życie, mój Boże — mówiła w duszy Anusia — jak tęskne, w jedno okno patrzeć zawsze i nic w niem nie widzieć, słuchać szumu wiatru i bicia własnego serca, liczyć żółwie godziny i drzemać pół snem nim się zaśnie na wieki.

Staremu choć się równie serce ściskało, inny jednak skutek wywarła na nim samotność: dziewczę dręczyło się, niecierpliwiło, egzaltowało, on drętwiał, posępniał, zamierał. Raz w dzień przeszedł do koła, podzwonił kluczami, powrócił, usiadł, wziął książkę nabożną i drzemał — popatrzał na Anusię, powzdychał i usypiał. Anna widząc to, oblewała łzami i swój los i ojca; w niej młodość z głębi serca dobywała życie, on już o swej sile żyć nie mógł, potrzebował a brakło mu podsylenia. Czasem próbowała go ocucić wspomnieniem, piosenką, pytaniem, powieścią, ale napróżno — starzec podnosił głowę, popatrzał, odezwał się krótko, i jeśli się rozgadał, to jakby z rozdrażnioną gorzej odchodził tęsknotą, a po niej szybciej obumierał jeszcze. Anusia dobierała sposobów i nie znalazła żadnego na wlanie mu życia, które uciekało jak płyn z rozbitego naczynia.

Niekiedy myśl śmierci błyskawicą przerznięła ponure jej dumy i drżała. Na całym, całym Bożym świecie nikogo — ona sama, jedna, bez opieki, bez podpory, a w sercu jeszcze taka miłość dziwna, co życie struć musi i spalić!

Myśli, modlitwa, podnowiły ją na duchu, lub czyniły coraz nieszczęśliwszą; jak chory oddawała się na przemian śmiesznej nadziei lub najostateczniejszej rozpacz. Ale łyzy co raz stawały się częstsze, choć starzec ich nie widział.

Długie wieczory jesienne i zimowe słuchając podedrzwiami, nicbyś tam nie usłyszał, prócz wolnego oddechu drzemającego Sienińskiego i westchnień dziewczyny, która modliła się lub tęskniła. A myśl jej to biegła za straconą opiekunką, to za podczaszycem, który ją porzucił uśmiechnięty, lecąc w tę otchłań, o jakiej Anusia z opowiadań najstraszliwsze miała pojęcie. Powieści sług, plotki krążące po dworze, domyślać się jej dozwalały w jaki wrzątek wpadł Michał, i co mu tam groziło; — ale jak go było ratować?

Poinsot, któremu powierzony był w opiekę, dobrze był wszystkim znany. Anusia wiedziała że opieka jego obronić nie może, raczej popchnie ku zgubie, byleby z niej Francuz mógł co skorzystać.

I znowu łyzy płynęły bezsilne.

Tak w myślach, łzach i żalobnej modlitwie za starość, Anusia dnie spędzała, a na jej twarzy znać już było jak wiele przeżyła od czasu śmierci i wyjazdu. Zbladła, wychudła, a dawny uśmiech rzadko zawitał na usta i to ze łyż splątany; wzrok tylko jeszcze płonął tą siłą serca, której nic dotąd odebrać jej nie mogło.

Jednego wieczora jakoś potrafiła dłużej ojca od snu wstrzymać rozmową i poczęła go rozpytywać, czyby gdzie krewnych nie miał, sądząc, że go jakim wspomnieniem orzeźwi.

— Kto to ubogiemu krewny? — rzekł biedząc się jak miał zwyczaj stary Sieniński — at! niechnoby po sukcesję, znalazłoby się powinowatych na fury.

— Wszakże to siostra mojej matki mieszka o mil kilkanaście, i tej nigdy nie widziała.

— Ba! bo się to lepiej od nas ma, a poco by miała charłaków odwiedzać; poszła za dzierzawcę, teraz już słyszę drugą wioskę kupują.

— Ale twoi krewni, mój ojciec — spytała Anusia — wszakżeś miał podobno brata, wspominałeś mi dawniej o nim.

— Brat ci to jest jeśli nie umarł — rzekł obojętnie dość, stary.

— Gdzież on mieszka? — spytała dziewczyna.

— Mieszkał to on w Warszawie i miał tam swój dworek na Bednarskiej ulicy, ale nie wiem co się z nim teraz dzieje od lat trzech, bo mi znaku życia nie dał.

— Żonaty?

— Nie był żonaty, chyba by to głupstwo zrobił na starość — odparł mruczając niechętnie dość, Sieniński — żył sobie kawalersko, służył po panach, uciułał grosza dobrego i teraz osiadł na dewocji w stolicy, bo taki przywykł był do ludzi i hałasu.

— Musi być stary? — pytała ciągle Anusia.

— O! pewnie, blisko dziesiątkiem lat odemnie starszy, a i ja nie młody. — Westchnął.

— A czemużbyśmy się nie dowiedzieli o niego — podszeptnęło dziewczę — ot, on by tam mógł kiedy nam co oznajmić o podczaszycu, a tak nigdy nic o nim wiedzieć nie będziemy. On by może popilnował z daleka i w złym razie poratował.

Stary się uśmiechnął.

— Nie nam to, rzekł, takich panów pilnować i ratować, a co my im pomódz możemy? czy to tam jeszcze źle? musi hulać po Warszawie całą gębą. Labuś mu pewnie myśli nie przykróci, bo i to cymes. Żeby tylko jak dziad nieboszczyk fortuny z wiatrem nie puścić, bo coś go się grosz nie trzyma.

— A! to miasto — dodała Anna — w którym i miliony stracić łatwo.

— Oj! oj! — rzekł stary — albo ich nie tracą byle ochota, karty kartami, hulka hulka, a też piękne panie mało grosza wyprowadzą?

Anusią zimno przejęło.

— Przyznam ci się ojczy, że się o niego śmiertelnie obawiam.

— Ja się już bać przestałem — rzekł stary — bom pewny jak że żyję, że go już nie zobaczmy, tak jak kamień w studnię, szukajże go na dnie.

Stary westchnął, pomilczał, głowę spuścił na piersi i powoli usypiać zaczął, Anusi gorące łzy puściły się z oczów, wstała i rzuciła się szlochając na kolana przed obrazem.

— O mój Boże — zawołała składając ręce z zapalem — nie daj mu ginąć w skalaniu i grzechu, uratuj go dopóki nie zgubi duszy, ocal go, jeśli nie dla zasług jego, to przez cnoty tej świętej staruszki, która się tam modli za niego!

Ledwie po północy niepokój dał jej usnąć. A we śnie zdało się jej, że klęczała u nóg starościny, w jej pokoju — na dworze była znów wiosna zielona i słońce złocistymi migało promieniami, kanarek śpiewał w klatce w zawody ze słowikiem na bżowym krzaku — starościna modliła się z twarzą pogodną, odwróciła się uśmiechnięta weselem nie ziemskim ku biednej Anusi.

— Nie płacz — rzekła cichym, bardzo cichym głosem — nie płacz dziecię moje, i nie bój się niczego, ty jedna wyratować go możesz, i ty go uratujesz.

— Ja? droga pani, a jakże bym to mogła uczynić? spytało dziewczę — dałabym chętnie życie, lecz na cóż się ono przyda?

— Nie trzeba życia twojego, dość będzie trochę serca, pracy i odwagi. Ty musisz ztąd wygnać się do Warszawy, by go z odmetu wyciągnąć. Ja za was oboje modlić się będę i obojgu pomagać.

Ledwie tych słów, których z uwagą rozczulona słuchała Anusia, dokończyła staruszka, jasne jej oblicze rozplynęło się w promieniu słonecznym, zdawała się mienić w przejrzystą mgłę jasną, ulatywać, oddalać i niknąć; pokój pociemniał, osmutniał, Anna ujrzała go nie jakim był wprzód, ale jakim go co dzień widywała — pustką grobową. Zima przysunęła się pod okno i śpiewy ucichły. Dziewczę zbudziło się, myśl mając pełną snu tego, który jej utkwił w pamięci, jak rozkaz z niebios zesłany. Nie zmrzyła już oczów i wstała raniej niż zwykle. Ale jak ojcu powiedzieć co tylko snem było, jak u niego wyjednać pozwolenie wyjazdu i pociągnąć go za sobą?

Anusia wahała się, dzień za dniem uchodził, co chwila wrażenie snu się zacierało, niepodobieństwo stawało w oczach wyraźniej — zamilkła wreszcie, myśląc że to było marzenie chorego serca, nie głos z nieba, co ją za nim w pogoń wysłał.

— Cóżbym ja tam poczęła — mówiła w duchu łamiąc się z pragnieniem i strachem — ja biedna, słaba, sama jedna! jak go wyrwać z tych niebezpieczeństw, jak od nich zasłonić? Gdzie siły i męztwo po temu?

I sen ów rozniosły dumy na skrzydłach szarych, a Anusia znowu płakała niespokojna.

I jednej nocy gdy po łzach usnęła, ujrzała się powtórnie w pokoju starościny rozwidnionym wiosną, staruszka siedziała przed nią w swem krześle z twarzą pogodną ale surowszą.

— Ty płaczesz jeszcze dziecko moje, odezwała się do niej, a nie chcesz posłuchać głosu mego... ty jedna przecie uratować go możesz. Przeżegnaj się krzyżem Pańskim, pójdzie za tobą Anioł stróż i modlitwy moje — a śmiało w imię Boże!

I cień znikł znowu rozplywając się w obłoku, ujrzała go jak ulatywał pod niebiosą, jak w nie jasnemi wchodził wrotami. Ale jeszcze wahała się Anusia, w kilka tygodni sen się powtórzył raz trzeci. Uzbrojona więc odwagą nową, Anna wstała postanawiając wszystko uczynić co można, by do Warszawy się dostać.

— Będę — mówiła w duchu — ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia, może potrafię go ratować, przychodząc z umarłej przestrogą, z pomocą drobną ale serdeczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szponów tych ludzi co go już otoczyć musieli!! Nie! on nie zginie, ja nie dam mu rzucić się w przepaść. A potem, wstąpię do klasztoru i spokojna o niego, modlić się będę i płakać po nim do śmierci — bo nikt, nikt go tak kochać nie będzie!

Ale jak było ojca nakłonić, jak pociągnąć za sobą starego, co z krzesła ledwie się chciał dźwignąć, resztę życia uprzykrzonego snem zbywając?

Anusia nie mało sobie nałamała głowy od czego tu zacząć, ale westchnąwszy do Boga i rozdobruchawszy wprzód ojca, jednego wieczora, zagadła go z nienacka.

— Mój kochany ojcze, jakby to dobrze było i wesoło, żebyśmy pojechali odwiedzić stryja w Warszawie. Przyznam ci się że mi tu trochę nudno, a i ty się nie bawisz. Wszak by to nieźle było, nieprawdaż?

Sieniński popatrzał wielkimi oczyma i przeżegnał się w milczeniu.

— A co tobie w głowie? — zapytał — toś ty widzę oszalała, zachciewa ci się podróży. Czy to ty podczasyna czy podczasanka? Dobrze nam tu cudzy chleb jeść, warzone i pieczone nie rozwiązując worka, to siedźmy i nie dziwaczmy. Jeszczeby czego nie stało, żebym i ja z tobą oszalał i zakasawszy poły ruszył do Warszawy.

Anusia zamilkła, spodziewała się tego, ale myśl była rzucona, reszta zależała od Boga, ... okoliczności... powolnego przekonania. Nie zrażała ją wcale oburzenie starego, który syczał, gderał i drwił z córki dopóki nie usnął.

Nazajutrz Anusia swoje.

— Śmiałeś się tatku ze mnie — zawołała — i może miałeś powody, ale doprawdy nie tak to ja głupio mówiłam. Ot, wy się tu postarzejecie przed czasem, tam byście się rozruszali, ożyli, przypomnieli lepsze czasy. A co się tycze kosztu — juściżby nam tam brat kawałka chleba nie pożalował, a tutejsza pensyjka i ordynarja gracjalisty, zaoszczędziłyby się, byłby to czysty zysk.

Sieniński pokręcił głową.

— A jaki z niej filut — rzekł — no! no! już mi się wyrachowała z czystym zyskiem. A któż ci powiedział, że brat nie pożaluje, to skąpiec jakiego świat nie widział.

— Stary kawaler, bezdzietny, choć oszczędny, dla swoich nie poskąpi pewnie.

— Jak to nie? czemu nie? poskąpi, bo mu miło skąpic — racji nie pytaj. Darmoby może jaki tydzień pokarmił, a dalej skwaśniałaby nam strawa od humoru gospodarza.

— Ja nie sądzę — odpowiedziała Anusia — albo to taka jak ja gosposia, na nicby mu się nie przydała? toćbym za nasz chleb odpracowała; wprowadziłabym mu ład, oszczędność, gospodarstwo.

— Ot, jakto znać że asanna mego brata nie znasz; a jemu to na co? czy to myślisz że on gospodaruje? — Wiemci ja sam i od ludzi jak żyje. Kupi zrana bułeczkę za trzy grosze i mleka za dwa, to ma śniadanie, na obiad pójdzie, za osiem groszy flaków spakuje i syt — w spiżarni mu szczury gospodarują...

Anusia pokiwała główką, źle się jej wiodło, ale nie zrozpaczyła.

— Choćby i tak — rzekła — albo to mu nie rozweselim samotności, wszakże to coś warto?

— Albo to w mieście może kto być samotny, jemu spokój potrzebniejszy moje dziecko — mało mu tam nahuczą pod oknami, a zechce ludzi, to tylko na ulicę wyjść.

— Toć kogoś kochać potrzebuje, a niema.

— A! a! — zaśmiał się stary — a siebież on nie kocha za wszystkich?? i szkatułkę drugą?



Anusia dała pokój, czekała trzeciego wieczora, a gdy zmierzchało, póki stary się nie zdrzemnął, znów rozpoczęła o Warszawie.

Sieniński już splunął.

— I co to znowu, czy już temu końca nie będzie? — zapytał — a toć się widzę uwzięła bzdurstwem mi głowę męcić?

— Daruj tatku, ale wiesz, że kobiecie jak się czego zechce...

— To aż kańczugiem wypędzać trzeba ochotę.

— Tego się ja nie boję — uśmiechnęła się Anusia — wyszliśmy z tych czasów, kiedy bić było potrzeba, ja już nie dziecko.

— A ja sił w ręku nie mam! — westchnął starzec.

— Ale doprawdy — dokończyła córka — ja się nie wyrzekam tej myśli, żeby jechać do Warszawy.

— Boję się żebyś na tem nie sfiksowała — mruknął Sieniński — co ci to jest?

— Zważ tylko ojcze, jakbyś ty się tam przydał podczaszycowi: tam go obsiedli oszusty, próżniacy, darmozjady, karcjarze — sam w nim przeczuwasz żyłkę do utrącausztowa, strzeż Boże, przyplącze się co gorszego? Czybyśmy naówczas przydać mu się nie mogli?

— My? albo to nas posłucha?

— Ciebie ojcze? czemuż nie, pewna jestem bo cię zawsze kochał.

— A i ja go kocham, tożem go na ręku wypiautował! — mruknął z westchnieniem stary.

— Widzisz ojcze, westchnąłeś, żal ci go, a poratować nie chcesz?

— Nie chcę!! ja nie chcę? Radbym z duszy, ale co może taki jak ja człowiek, zestarzały i bezsilny?

— Przy pomocy Bożej, wiele — żywo odparła Anusia, widząc, że nareszcie trafiła na czulą stronę — jestem pewna, że tybyś mu wiele pomógł? że tybyś go ocalił!

Stary się głęboko zamyślił.

— Dajmy temu pokój — rzekł — to nad siły nasze, porwiemy się, nie podołamy, śmiechu tylko narobim a sami zginiemy — nie krwaw mi serca.

I zamilkł. — Teraz już pewną była Anusia, że potrafi dopiąć swego; odkryła w nim bowiem prawie niespodzianie, przywiązanie do podczaszycy, i wiedziała już w co bić może. Nie dała więc staremu pokoju ani na chwilę, wymógłszy naprzód obietnicę zastanowienia się nad tym, później pół-przyrzeczenia, potem słowo że pojedą, nareszcie naznaczenie nawet dnia wyjazdu.

Cudem to było prawie, takiej tam cierpliwości potrzebowała, takiego wytrwania, uporu, by starca przywykłego już do spoczynku i rozmiłowanego w próżnowaniu, wyciągnąć z kątki, który polubił, z którego się przez lat kilkadziesiąt nie ruszył. Naprzód tedy zebrał się stary napisać do brata do Warszawy, rad bardzo w duchu, że trzeba będzie na odpowiedź czekać; ale rychło jakoś uwinęły się poczty i list odebrał, któryby może zataił, gdyby nie szedł na ręce Anny. Brat nie zapraszał go bardzo, ale też nie odpychał, owszem ofiarował dwie izby w dworku komornym, to jest za zapłatę, ciesząc się że będzie miał z kim wieczorem pograć w warcaby i posiedzieć przy świecy nie płacąc za nią. Wcześniej też zamówił sobie stół u Sienińskiego, i widać było z pisma że w rachunku musiał się bardzo pilnować. Serca tam było niewiele, ale trudnoż go się było spodziewać od nieznanomego. Anusia czytając list, bo okulary ojca jakoś się były zawieruszyły tak że ich wyszukać nie mógł, umiała w nim wyczytać co chciała, a ominąć co się jej zdawało niebardzo potrzebne. Sienińskiemu zaczęła się coś podróz uśmiechać, i nazajutrz poszedł opatrzyć stary swój wózek, najmować konie u żydka arendarza, myśleć o zapasach na drogę.

Przygotowania te trwały ze dwa tygodnie, gdyż im bliższy był dzień wyjazdu, tem stary więcej wynajdywał trudności, a na ostatku co tylko miał chciał zabierać z sobą. Ledwie go Anusia nakłonić potrafiła, by zostawił rupiecie, a co pilniejsze tylko wziął z sobą. Potem znów żyd nie był gotów, wózek rozeschły wymagał naprawy, i nie rychło się wybrali.

W dzień wyjazdu, Anusia poszła raz jeszcze do pokoju staruszki, aby ją modlitwą za jej duszę pożegnać, klękła we łzach u krzesła, złożyła ręce i gorąco poczęła wzywać Boga na pomoc, bo jej odwagi znów brakło.

Ale już nie czas cofać się było: podniosła oczy, wstała i przechadzając się po pokojach starościny kilka razy chciała każdy kątek pożegnać, niespodziewając się powrócić.

Wszystko dla niej pełnem było wspomnień z tych nieocenionych lat dzieciństwa, które są tak drogie gdy miną!

Zaglądała wszędzie, całowała sprzęty, na nie jeden łza upadła, nie było kryjówek, kącika do którychby nie zajrzała, a w każdym, bodaj garstka pyłu, bodaj odrobina ziarna dla ptaszków, zeschnięte kwiecie, papier zmięty, ręką staruszki zapisany, do łez ją rozrzewniały.

W ścienie była szafeczka w której starościna zwykle trzymała łakocie dla dzieci, to jest dla Michasia i Anny; ztamtąd to przychodziły gruszki, śliwki suszone, latem owoce lub cukierki. Annie chciało się raz jeszcze zajrzeć do tej pamiętnej szafeczki, do której nikt może nie zaglądał od śmierci starościny. Jak-że się zdziwiła ujrawszy na półce wśród pudełek nietkniętych, w których myszki gospodarowały w resztkach słodyczy — papier jakiś zapisany.

Chwyliła go z trwogą — i krzyknęła, widząc swe imię na wierzchu ręką staruszki napisane. — *Dla Anusi Sienińskiej mojej poczciewej wychowanki. Niech ją Bóg błogosławi.*

Z początku ze łzami, z bijącym sercem nie mogła nic prócz słów tych wyczytać, w ostatku otworzyła pismo i znalazła w nim maleńki krzyżyk i błogosławieństwo.

Idziesz w świat moja Anno — pisała starościna — idźże z krzyżem świętym i mojem błogosławieństwem. Niech go ci Bóg udzieli i Matka Jego na każdym kroku ciężkiej drogi życia. Śmiało z niem dziecko moje, a wyjdiesz cało i zwyciężko; ja się za ciebie modlić będę i z góry strzedz ciebie. Niech cię Bóg prowadzi w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Tych kilka słów zdawały się skreślone jakby z przecuciem chwili, w których Anna znalazła i przeczytała je miała — pokrzepiły ją i dodały odwagi. Ucałowawszy, schowała drogą tę pamiętkę i weselsza ochoczo zbiegła do ojca.

Pożegnanie z Głuszą było smutne i długie, popłakali się ludzie, stary rozszlochał na dobre. Anusia nieprzytomna prawie siadła na wózek, i żydek popisując się końmi najętymi, w galop ruszył z brukowanego dziedzińca.

Popędziły konięta lecąc z kopyta jak ludzkie uczucia, które z miejsca czwalem się ruszą, a po chwili w kłusa w stęp, ze stępa w spoczynek przechodzą. Stary Sieniński z łez przeszedł do gderania, jak się to zwykle dzieje. Anusia znowu płakała, a Abramko wiokał, cmokał, popędzał, i wkrótce pałac i dworskie budowle znikły im z oczów, a szeroki świat straszny, wielki, rozwinął się przed niemi milczący, posępny obszar otaczając podróżnych.

#### IV

Rok z okładem minął od czasu jakżeśmy rzucili podczaszyca rozpoczynającego życie nowe w Warszawie, a rok ten mignął mu szybko niepostrzeżony, lecz jakże wielkie sprowadził zmiany. Często z człowiekiem dzieje się jak z owym bajecznym kameleonem — włóż go w chustkę białą, pobieleje, posadź wśród zielonych liści, zielonym się stanie, czarna go ziemia poczerni. Tak i tu było właśnie: podczaszyca wziął na siebie barwę wieku i miejsca, z największą łatwością zastosowując się do rozwiązek a miłego towarzystwa które go otoczyło.

Szybkim krokiem szedł po drodze powodzeń światowych, coraz głębiej w zepsucie, wziętość i sławę jakiej się chciał dorobić. Chwylił się był i porzucił kilka kobiet wyższego towarzystwa od starościny począwszy która go odżałować niemogąc, a ustąpić zmuszona, próżno starała się jeszcze odzyskać. Wszystkie namiętności śpiące dotąd, bujnie rozwinęły się w Ordyńskim, bo nikt ich nie hamował — bawił się, kochał jak kochano w XVIII wieku, grał szalenie i szalenie tracił.

Labe Poinot przez Ryxa, któremu skuteczne dał lekarstwo na różę w nogach, na którą nieustannie cierpiał starosta Piaseczyński, potrafiwszy sobie wyrobić miejsce przy dworze królewskim, w pół roku opuścił Ordyńskiego, mając go za dostatecznie przygotowanego do wyjścia na świat o własnych siłach. Michał korzystając z większej jeszcze swobody, ze stosunków które porobił, przykładem innych jał się naprzód postawienia domu swego na stopie odpowiedniej. Nie zważał wcale na kosztą jakie to za sobą pociągnąć miało, sądząc jak wszyscy bogaci młodzi ludzie, że pieniądza wyczerpać się nie może.

Naprzód więc nabył kamienicę na Krakowskiem przedmieściu chcąc być w pośrodku miasta, a Zugh i Merlini przerobili mu ją na gustowny pałacyk z ogrodem, w którym nie brak było ani mostków na suchym rowie, ani grot z przywiezionych zdala kamie-

ni, ani nawet wodotrysku zasilanego kilką wiadrami wody wiślanej. Cuda te ogromnie kosztowały; zachciało się jeszcze podczaszycowi w kątku mieć ogródek z drzew karlich i zabawkę podobną ulubionej księciu ex-podkomorzemu, który maleństwami się otaczał, i to także urządził na podziw szczęśliwie.

Z pośpiechem przysposobiono mu dom, stajnię, oficyny, wszystko co do wygody posłużyć mogło. Poprowadziła za sobą ta zmiana nowy skład dworu, pomnożenie sług i wydatków, ale Ordyński brnął śmiało: przyjął kucharza Francuza, uzapasił piwnicę, ściągnął konie wierzchowe, sprawił cug tarantów przepyszny, kupił karykl modny, przyjął murzyna, ustroił janczara i zaczął żyć co się zowie po pańsku.

Wszyscy smakowi jego, wykwintności i inwencji poklaskiwali, nikt wstrzymać nie myślał, sądząc że go na to staje. Dom podczaszyca stał się wprędce jednym z tych, do których zbierała się młodzież najświetniejsza, nawet książe Józef kilka razy zaszczylił go odwiedzinami wieczornymi.

Rzadki był dzień żeby nie oświecono pałacyku i nie spodziewano się gości; stoły gry nie próżnowały nigdy, hulanki nieraz przeciągały się do dnia białego. Ordyński uprzejmy, miły, uśmiechnięty, dowcipny, używał dotąd młodości nie spotkawszy na swej drodze ani zawodu, ani przykrości, ani chmurki... każde jego życzenie spełniało się czarodziejsko i zdało mu się, że to co ludzie zwykli pleść o nieszczęściach, przeciwnościach, boleściach, i t. p. pochodzić musiało ze złego humoru i dziwactwa; słowem nie pojmował, by komu gorzej od niego być mogło.

Aż lubo było spojrzeć na tę fizjognomią rozjaśnioną, promienistą i zupełnie szczęśliwą. Wprawdzie rok ten znacznie ostudził młodzieńca, zubożył go, odmienił, ale nie było w nim ani jednej burzy któraby jasne dni słoneczne zciemniła, choć nie było i pragnień namiętnych — spokojnie używał z zaufaniem w swoim losie.

Z dziecka nagle prawie stał się dojrzałym człowiekiem, tak szybko przeskoczył w gorączkowym życiu kres co przedziela dzieciństwo od męskiego wieku, pożerając całą młodość w kilkunastu miesiącach. Młodość nie jest-li to wszystkiego nadzieja i pragnienie? nie jest-li to jasno-widzenie świata w idealnej szacie, miotanie się ku niemu z otwartymi rękami i gotowość do boleści, do ofiary, do wszystkiego co czuć daje życie? Starość nie jest-li utratą nadziei i pragnień? Michał nie przestał jeszcze pragnąć i używać, ale nadto się zbliżył do świata, by go mógł inaczej widzieć jak czarno i zimno-rzeczywistym. Był to już człowiek chłodny głową i sercem, temperamentem namiętny, a świat pojmujący tak pospolitym, czczym i brudnym, że strach było go posłuchać, żal na niego spojrzeć. Dziwną sprzeczność stanowiła jego młodość rzeczywista, z tem sztucznym zestarzeniem i zużyciem serca i głowy.

Dwóch nieodstępnych przyjaciół szli z nim krok w krok. Jenerał który przywiązał się do niego, bo nigdzie łatwiej jeść, pić i pożyczać nie mógł, i cavaliere Fotofero, który zawsze potajemnie widywał się z podczaszycem coraz większą otrzymując nad umysłem jego przewagę. Pierwszy poradził mu postawienie domu na stopie poważniejszej, i sam urządził niektóre jego części stręcząc mu kucharza, sławnego Rondeau, który służył u Ogińskich, wybierając wina, prawie zawsze dysponując obiady i podwieczorki, które też najregularniej co dzień zjadał, jeżeli go gdzieindziej przysmak jaki nie zwabił. Prawda, że też za to służył podczaszycowi w sprawach potocznych, posłował, chodził, często bardzo zręcznie pomagał w umizgach odciągając niepotrzebnych świadków; w czerpiąc z kieszeni pupila, czynił to z pewnem umiarkowaniem, zawsze *in extremis* tylko, wyrachowawszy że mu ta pomoc na długo służyć będzie mogła.

Cavaliere, który tajemniczą grał rolę przy podczaszycu i nigdy nawet na próg domu jego przy ludziach wejść nie chciał, widywał się z nim codziennie prawie na ulicy, w ogrodzie, wśród przejażdżki, ale sam na sam. I on też radził, pomagał, rozweselał, żartował, podochacał, a podczaszyc teraz znajdował go jednym z najprzyjemniejszych i najrozumniejszych ludzi jakich poznał w Warszawie. Pomimo usilnych nalegań Ordyńskiego cavaliere Fotofero nigdy do niego nie przychodził przy gościach, rozmaite dając powody ukrywania się swego. Donosił on podczaszycowi z nowinek miejskich co go obchodzić mogło, a czego inaczej dowiedzieć się było niepodobna, ułatwiał mu pożyczki pieniężne, zachęcał do gry, do hulanki i śmiał się zręcznie z tych co inaczej życie wiedli. Podczaszyc zawsze upatrywał w jego twarzy osobliwsze, uderzające podobieństwo do szatana w obrazie Ś.

Michała, ale się już na nią nie wzdrygał, pierwsze doznane uczucie zowiąc dzieciństwem i śmiejąc się z niego; teraz owszem w rysach Włocha znajdował coś wielce dowcipnego, jakąś cechę rozumu, wyraz potęgi i charakteru.

Przy wyjeździe matki podczaszyc był jeszcze na stopie młodzieńca, który nieśmiało w świat zagląda, teraz już przeszedł do ludzi mających w nim prawo obywatelstwa. Należał do wszystkich zgromadzeń, wiedział co się działo na każdym, nie było bez niego zabawy, liczono go do najświetniejszych gwiazd młodzieży. Nie było bowiem, w całym znaczeniu ówczesnym wyrazu, człowieka lepiej wychowanego do świata jak on — celował we wszystkim co mogło odznaczyć tego rodzaju pracowitego próżniaka. W grze nie było nadeń spokojniej przegrywającego ogromne summy, ani wygrywającego grzeczniej i mniej chciwie; tańczył jak bóg tańca, śpiewał bardzo przyjemnie francuzkie piosenki, grał na flecie który był ulubionym mężczyzn instrumentem, może przez małpiarstwo Fryderyka, na klawicymbale także z pewną wprawą i biegłością, jeździł konno niezbyt mocno ale prześlicznie, powoził się w whisky po mistrzowsku, umiał z pajęczyny wysnuwać rozmowę niby ożywioną i utrzymywać ją pół dnia, jak akrobata szpadę na palcu, niedając jej upaść nigdy; z kobietami był ujmującej słodyczy i grzeczności, z mężczyznami nadzwyczaj zręczny, a w potrzebie stawał na szpady i pistolety ile razy było potrzeba, niezmrużając oka. Miał przy tem znajomości tyle, że mógł uchodzić za znawcę i diletanta w rzeczach literatury i sztuki, udało mu się niekiedy nawet sklecić wierszyk francuzki... czegoż więcej było potrzeba by sobie wziętość pozyskać? Kobiety przepadały za podczaszycem, mężczyźni go powszechnie lubili, wiodło mu się, dziwnoż — że głowa nareszcie od tego wszystkiego zawrócić się musiała? Nie mając żadnej roli politycznej w czasie, w którym ciężko jej było nie mieć, Ordyński trzymał z dworem i z nim się przechylał w tę i ową stronę za okolicznościami. Wzdychał nad nieszczęściami kraju, utrzymywał, że nic już poratować go nie mogło, przepowiadał nawet nowe klęski, a bawił się wesoło jakby nic więcej do czynienia nie pozostawało, marzycielami i zapaleńcami zowiąc tych co poczynali inaczej. Sejmowe narady, które się ciągnęły jeszcze, zastały go pieczeniarem w początku i dotąd tem imieniem chrzczono go jeszcze z powodu uczęszczania do dworu i przyjaźni z jenerałem. Ze wszystkimi jednak stronnictwami był mniej więcej dobrze, przyjmował u siebie każdego, nie zadzierał się z nikim; u Lucchesiniego bywał, uczęszczał do pana Hayles, do Małachowskiego, do Sapięhy, Ogińskich i Potockich, do posłów różnych partyj. A że wszyscy wówczas, nawet ludzie poważni i surowi, lubili się bawić i po troszę hulali, a dom podczaszycy należał do najwygodniejszych męskich, schodzono się do niego jak na neutralne stanowisko, opinią zrzucając z płaszczem w sieni.

Gospodarz też nigdy nie napomknął nic co by się stać mogło powodem do waśni — mówiono o kobietach, o miejskich wypadkach, o obojętnych drobnostkach, zabawach, grze i t. p.

Po staroście, która cały miesiąc używała najzupełniejszego tryumfu i włóczyła ze sobą podczaszycyca jak zwycięzca niewolnika — Ordyński zaprzął się do wozu owej pięknej pani, chciał potem przejść pod sztandary Lucchesiniowej, ale go nie dopuścił już poseł Inflantski który zupełnie ją opanował, i choć nie raz zagryzała go kaprysami i napawała zazdrością, stale trzymał się przy niej. Ludzie złośliwi mówili, że u żony posła szukał materiałów do gazety którą wydawał. Z kolei podawały sobie Ordyńskiego lekkie piękności ówczesne, a on w tym wrzątku nieznużony, przechodził od jednej do drugiej z obojętnością młodzieńczą, dowodzącą, że albo nie miał serca, lub go nic jeszcze obudzić nie mogło.

Frascatella z razu była trochę zaniedbaną, potem znowu począł do niej pokryjomu uczęszczać, ale przekonawszy się, że tu ciężiej daleko idą miłostki niż na wielkim świecie, powtórnie do niej zobojętniał. Ona zawsze równie dlań okazywała się sympatyczną, smutnie poglądając na życie, w które się rzucił przykładem drugich.

Wśród otaczających ją w zepsutym czasie najzepsutszych istot, naśladowujących na małą skalę bezwstydy głośnych du Thé, Guimard, Clairon i tylu innych — Frascattella była istotnie czemś fenomenalnym, i nikt jej pojąć nie mógł. Posądzano ją o wyrachowanie, o szalbierstwo, o skrytość, a nikt posądzić nie chciał nawet o poczciwość i cnotę. Gdy jej w końcu nic dowieść nie było można, rzucono ją jak nierozwiązaną zagadkę, omijając ruszeniem ramion obojętnem. Podczaszyc swoją młodością i naiwnością początkową, może wdziękiem i świeżością dzieciństwa z którym przyjechał, zajął był widocznie tancerkę,

która jak z niczem tak i z tem nie tała się wcale; prześladowano ją Ordyńskim, śmiała się tylko, ale gdy poczęto napastować go by się pochwalił na jakiej był stopie z tancerką, podczaszyc jakkolwiek chciał, nie mógł przyznać się by poufalszy nad drugich zyskał u niej przystęp. Frascatella do ostatka nie skrywała przed nim, że się jej podobał, że ją zajmował, ale ile kroć chciał się przybliżyć, pokazywała mu sztylecik u pasa, a co gorzej robiła się tak surową i poważną odsyłając go do pań większego świata nic niemających już do stracenia, że Ordyński gniewny cofać się musiał.

— Więc mnie chyba nie kochasz? pytał podczaszyc.

— I owszem, dla tego może właśnie że kocham, odpycham.

— Wyznaj, że to szczególna miłość.

— Ja kocham po swojemu!

Podczaszyc nie był dotąd przywykły do tej teorji, bo żył w świecie któremu się o niej nie śniło, zżymał się trochę, ale zapomniał prędko o dziwaczcze Frascatelli.

Wszakże drażnił go ten opór, i ile razy na pamięć mu przyszła, powracał do niej znowu, by znów pójść z niczem i wstydem.

W chwili gdy go chwytały tak zmienionym i wykształconym, podczaszyc zajmował się bardzo gorliwie nowem na horyzoncie zjawiskiem. Była to świeżo przybyła ze wsi żona wojewody K..., od lat trzech zamężna, która cały ten czas spędziła w Paryżu i po raz pierwszy w Warszawie zjawiała się w całym blasku świeżych wdzięków, z urokiem jaki u nas każdemu nadaje otarcie się o obczyznę. Choć wychowana w kraju i ubogich rodziców córka, nabrała pani wojewodzina i tonu i powagi pańskiej, a że była prezentowaną na dworze Ludwika XVI, że miała szczęście być zapraszana przez Polignac'ów i Marją Antoanettę na wiejskie zabawki do Trianon, że z jej męża śmiano się tam trochę bo się po polsku nosił, a do króla Ludwika prawił po łacinie z dodatkiem *Mościerdzieju* i t. d. i t. d., słowem, że się otarła o to co dawało ton Europie, przyjęto ją w Warszawie jak zstępujące z obłoków bóstwo.

Para to była wielce niedobrana, pocieszna bardzo, ale szczęśliwa. Wojewoda z antenatów pan, był może śmieszniejszym w Paryżu, ale w kraju z wielu względów zasługiwał na szacunek, bo w nim jeszcze tłała reszotka uczuć które dawniej kraj ożywiały. Niemłody już człowiek, owdowiawszy po pierwszej żonie która mu nie zostawiła potomstwa, ożenił się po raz drugi z ubogą panią wychowaną trochę w kącie, a trochę na dworze księżnej jenerałowej ziem Podolskich, i w tem wielki błąd popełnił. Panna Karolina miała wszystkie wady, których tylko nabyć można przez złe, niedokończone i sentymentalne wychowanie, a że wojewoda był do niej jak młokos a raczej jak starzec przywiązany ślepo i szalenie, widząc może błędy, nie miał serca ani ich skarcić, ni próbować poprawić; wojewodzina robiła co chciała, ciągnąc go za sobą jak posłuszną ofiarę.

Jednego tylko wymódz na nim nie mogła, żeby sobie wygoliwszy łeb nałożył perukę, a kontusz zmienił na pludry i fraczek. Zaraz po ślubie zaciągnęła go do Paryża i do Włoch, gdzie już powoli cugle sobie puszczać zaczęła, a trzy lata wysiedziawszy za granicą, gdy we Francji gorąco być poczynano, powróciła do Polski, wprost udając się do stolicy — bo wsi nie cierpiała.

Można sobie wystawić, jakim rojem otoczyła ją młodzież, dla której zjawienie się nowej gwiazdy było wielkim wypadkiem w życiu próżniaczem. Poznano od razu, że chętnie holdy czcicieli przyjmować będzie: głośny jej pobyt w Paryżu, o którym wiele mówił książę Nestor, ręczył za to. Sapieha rozpowiadał na ucho każdemu o tem, kto chciał słuchać, bo mu w listach donosili przyjaciele o każdym jej kroku. Stanęli tedy do walki zapaśnicy, a podczaszyc w ich szeregach. Wkrótce widocznie faworyzowanych zostało dwóch tylko, Rybiński poseł, bliski krewny, czy synowiec biskupa kujawskiego, młody człowiek, który nie tyle rozumem i innemi przymioty, co nadzwyczajną celował pięknnością, i nasz Ordyński.

Wojewodzina była, jak wiele pań świeżo wzniesionych na stanowisko w świecie o jakim ledwie marzyły, trochę dumna z losu, który swym przymiotom przypisywała, a tem większą pragnąc okazać się panią, im mniej ku temu miała prawa, trzymała się wszystkiego co jej równe czyniły, gotowa iść za ich przykładem, dalej niż sumienie pozwalało. Cieniuchna, celująca figurą, zgrabna, zwinna, żywa, wojewodzina w wyrazie twarzy i czarnych ogromnych oczu, miała aż do zbytku wiele dumy i surowości, nadając tem sobie powagę, której brak czuła może w duszy.



Dbiała bardzo o zachowanie najdrobniejszych prawideł etykiety aż do przesady, przywiązana do wykwintnego stroju, do mody nawet w najmniej znaczących fraszkach, chciała być wyrocznią wszystkich w tym przedmiocie. Zresztą, była to przy łatwej mowie, przy wielkim wdzięku snycerskim, główka pusta, zajęta gałgankami — serce nie miało się czasu odezwać. Męża wiodła nieznacznie, i dawał robić z sobą co chciała, ale zawsze miała minę posłusznej małżonki, rozkazując pokryjomu. Poczciwy ten człowiek, z wielką dumą rodową, nie zbyt wzniosłym umysłem, ale z charakterem szlachetnym i mającym stronę piękną — nie wiele się trwożył o żonę. Wiedząc że wiek wymagał pozorów płochości, nie przypuszczał by żona jego, którą miał za istotę wyższą, zniżyła się do jakiejś występnej intrygi; miłostki prawie publiczne były tak pospolite, że na nie nikt nie zważał.

Otwarcie domu ich w Warszawie, na chwilę zachwiało wieczorami starościny małogolskiej i Opeckiej, rzucili się tam wszyscy, ale na wstępie znaleźli tyle ceremonji, stopniowań praktyk dworskich i wymagań etykiety, że większa część zupełnie się cofnęła, a inni zrzadka się tylko pokazywali.

Rybiński i podczaszyc dotrzymywali placu przy świetnej gwieździe nowej, a ostatni nawet nie zląkł się wojewody, który go solennie nudził powagą swą, polszczyzną, łąciną i starym sposobem pojmovania rzeczy. Ordyński zdawał się więcej zajęty wojewodziną, niż kiedykolwiek którą z tych pań co go sobie wyrzywały. Czy mu zabiło serce? czy szlachetniejsze obudziło się przywiązanie, czy po prostu była to tylko fantazja i próżność? nie wiem. Rybiński równie uparcie stał w miejscu nie ustępując mu kroku, bo kochał istotnie, a niewielkiej będąc głowy, uczucia miał gwałtowne, pasja zaczynała już w nim dochodzić do szału niemal. Dwaj współzawodnicy mierzyli się oczyma, ścigali myślą, ale pozostali z sobą w stosunkach grzeczności zimnej jak wprzód. Wojewodzina nie zdawała się żadnego wyróżniać szczególnie, trzymała obu na uwięzi, co naturalnie każdy z nich przypisując wpływowi antagonisty, jątrzył się i burzył wewnątrz.

Tak stały rzeczy, w chwili gdy znowu chwytny podczaszyc z nową twarzą, z nową duszą, ścigającego szczęście, gdzie go nigdy nie było.

## V

W domu podczaszycy zebrało się jak zwykle wieczorem liczne towarzystwo, grą szczególnie ściągnięte. Czy to skutkiem jakiejś obojętności gospodarza, czy niedomyślności jego, dozwalał on w domu swoim zakładać co wieczór banki ludziom wielce podejrzanym, przybłędom z końca świata, tym właśnie i podobnym jakich widzieliśmy już u księcia podskarbiego, okrzesanym filutom, w których obfitowały wszystkie stolice XVIII wieku, a do Polski szczególnie zbawiły pieniądze i sława rozrzutności naszej.

Jednym z najpoufalszych teraz był tu ów Włoch, u podskarbiego zaprezentowany przez cavaliere Fotofero, który był u podczaszycy jak we własnym domu. Szczególniejszym jakimś zrzędzeniem, Ordyński grając z nim sam prawie wygrywał, czasem okroiło się coś generałowi, reszta gości nieszczęśliwie wychodziła, i wielkie sumy często zgarniał bankier.

Był to człowiek bardzo starannego wychowania, i znać bywalec na wielkim świecie, kawaler dwóch jakichś mitologicznych orderów, których wstążki różnobarwne nosił w pętlicy, mówiący niemal wszystkimi językami, słodki jak lukrecja, uprzejmy, zresztą osłonięty tajemnicą, bo nikt o przeszłości jego nie wiedział słowa. Zwał się Cerulli, mieszkał zrazu w pałacu Potkańskich u księcia podskarbiego, ale gdy na niego spadło obwinienie i gdy go przytrzymano, wyniósł się ztamtąd ostrożnie, najął sobie lokal obszerny i dawał świetne wieczory. Że zaś do niego jako do cudzoziemca i nieznanego mało kto przychodził, wołał grywać u podczaszycy.

Na pozór niemający żadnej pasji, zimny, niezbadany, z wejrzeniem, które spotykał każdy wycelowane ku sobie niespodzianie, nie mogąc zmusić by się otwarcie ze wzrokiem jego zmierzyło; Cerulli dla Ordyńskiego był czuły, przyjacielski, ale zbyt może narzucający się ze swoją poufalością, traktował bowiem podczaszycy na stopie równości. Znosił to gospodarz bo grać lubił, zrobiwszy sobie z gry nałóg, a z Cerullim grał jak chciał i zawsze dosyć szczęśliwie. Generał protegował go także, nie tak może dla gry jak dla bolońskich salcesonów i mortadelli, które u niego zjadał, popijając wybornem winem hiszpańskim. Tajemnicza ta postać we dnie mało widoczna, zjawiała się nocą z niedoperzami i o brzasku znikła — co we dnie robił, nikt nie wiedział. Z mowy sądzić było można, że się alchemią

zabawiał, bo mienił się uczniem Cagliostro, przebąkując niekiedy o tajemnicy robienia złota.

Tego wieczora goście napływać już zaczynali i salonik się napełniał, gdy Cerulli wszedł powoli, ukłonem wszystkich zimnym powitał, poufale podał rękę podczaszycowi i rozsiadł się w krzesle obok kasztelana Ł..., głębokim milczeniem, zamyśleniem lub półsłowem dwuznacznym zbywając zapytania, które mu zadawano.

Podczaszyc najmodniej strojny we frak papuziego koloru, w weście ze srebrnej lamy na tle blado-różowym, prześlicznie upudrowany i wyfryzowany misternie, w koronkach, które parę tysięcy talarów kosztować mogły, rozparty na kanapie, nogę założywszy na nogę, może dla pokazania przepysznych klamer u trzewików, bawił się dewizkami od zegarka, składającymi się z gruszek koralowych, ametystów i granatów, i z modnego n-ówczas bardzo sznurka z włosów, zakończonego kutasem brylantowym. Obok, marszałek sejmu, książę Nestor, przybyły tylko na chwilę, siedział smętny i zmęczony, za nim poseł inflantski, uderzający fizjognomią pełną dowcipu, życia i łagodności, dalej Wejssenhoff, Mostowski, Bielawski, Witten, generał Garczyński, koniuszy Kicki, a nawet Komarzewski, kupkami się pozbierali szepcząc między sobą.

Rozmowa zaczynała się ożywiać, bo któż się wówczas nie zajmował gorąco wszystkim co w koło wyrastało jak grzyby na wiosnę, z nieporównaną szybkością zjawiając najniespodziewaniej.

Nigdy może umysły do większej czynności podbudzone nie były, nigdy wszyscy aż do najmniejszych, nie zajmowali się tak bardzo wypadkami bieżącymi. Mnóstwo mów, wierszy, epigramatów, rozpraw, paszkwilów, roztrząsań, krążyły drukowane i pisane po Warszawie, wiele z nich z prawdziwym dowcipem, z wielką siłą i uczuciem na papier rzucone były, i potężne też czyniły wrażenie. Kommentował je każdy, powtarzano, odpisywano; nigdy tylu satyryków i pamfletarzy nie miała Polska co w ówczas. Celował tu sarkazmem ostrym i dobitnością Węgierski, ale obok niego ileż nieznanych lub zabytych tuliło się poetów, którzy z czasem przeszli, bo dla swego tylko czasu pisali. Pisma ich głównie przeznaczone do działania politycznego, w tej sferze żyły i obumierały. Mowy nawet, jak owa sławna szambelana Turskiego, miane w sądzie sejmowym, przechodziły mimo woli w krytykę obyczajów. To wszystko dowodziło, że się poczuwano do zepsucia i pragniono poprawy, choć nikt nie chciał dać z siebie przykładu. Dziwna rzecz, Turski w tej oracji sejmowej, zbyt wyprężonej i wypracowanej ale pod względem myśli bardzo znaczącej, która miała tak znakomity rozgłos w kraju i wywołała piękną odpowiedź wierszem — mówił nawet o kobietach!

Jak ta mowa, jedna z tysięcy, tak wszystkie wypadki, każde słowo, żarcik, plotka, rozchodziły się, powtarzały z ust do ust i dawały powód do poezji, satyry, epigramatów. Poeci śpiewali nawet fiaków warszawskich prosząc, by im po nocy kartek po rogach rozlepiać nie przeszkadzali.

Całej tej literatury wywołanej ówczesnymi wypadkami, skutek na umysły był ogromny. Trembeckiemu teraz przypominano jego *Ma pan rozum*, z listu hetmana do księcia podskarbiego wyjęty, i z okazji ostatniego powtarzano, że nie miał ten *Pan rozumu* ale kto inny go dowiódł, zamiast być sądzonym, dowodząc, że zasiada w sądzie.

Nic też nad ten agitujący się sąd na podskarbiego nie wzbudziło więcej poezji satyrycznych (począwszy od supliki księdza Spirydjona plenipotencjarjusza delikwentów warszawskich do marszałka nadwornego litewskiego Potockiego) i nic nie zaszkodziło mocniej partji hetmana i księżnej jego siostry. Wołano głośno o sąd na hetmana, a prośba do księżnej w czasie sejmu, zjadliwością nie da się z niczem porównać. W tym rzędzie politycznych pamfletów, policzyć można ciekawe także rozmowy umarłych: Sołtyka, Garnysza, Dekerta...

Smutny był los uwięzionego podskarbiego, przy którym z tych co wpród jedli z nim i pili, żyjąc jego szczodrocią lub namiętnościami, żywa teraz nie pozostała dusza — rodzina tylko i to wahając się, niechętnie, bo imię jej w błoto wciągnął i jeden *anima damnata*, wierny sługa księcia Adama, kapitan Kukumus. Reszta, począwszy od tego co pisał mu, *ma pan rozum*, cofnęła się i odstąpiła, przechodząc do sądu lub uchylając się na bok, a pałac Potkańskich pozostał pustką, którą ledwie niekiedy wieczorem ktoś nawiedził, okupując milczenie grzecznością... Jest podobieństwem, że to milczenie podskarbiego tak było potrzebnem, a zdawało się niepodobnem, iż mu ucieczkę dwukrotną nie sama rodzina

dla czci swojej ułatwiała, ale i ci co się sądu dla skandalu obawiali. Truchłał nie jeden wysoko siedzący, gdy przyszło traktować z więźniem, żeby nie przypozywał tych co z nim razem trzymali i błędzili. Można sobie wystawić jak skóra drżała na sędziach, co chwila obawiających się, by im nie przyszło ze swych krzesel przejść na ławę obwinionego. Ale tu ten hulaka, rozpustnik, człowiek co się zwał zarówno w życiu prywatnym i publicznym, więcej miał litości i charakteru, niż drudzy wstydu i odwagi.

Kasztelan N..., księżna wojewodzicowa Sapieżyna, cierpieli może najwięcej od paskwilistów którzy im straszliwie i nieustannie dopiekali; pierwszemu wyrzucano z bogacenie się z prymasa Podolskiego, wydarcie wdowiej majątności, potem zejście z Walewskim dość jakoby nieszczęśliwie zakończone, bo zbity miał za to wzięść 12,000 złotych okupu... Pomimo tych rzucanych na siebie nieustannie paskwilów, kasztelan na sejmie bardzo głośno rozprawiał — ale ledwie się z czem odezwał, zatykano mu usta paskwilem. Najdrobniejsza okoliczność dawała powód ku temu, i gdy naprzykład Grabowski dał sto batów Stokowskiemu burgrabiemu warszawskiego grodu, spadły i one wierszem na grzbiet kasztelana; śpiewano piosnki na cześć kowala Marjańskiego, zarazem nielitościwie chłoscząc partję hetmańską, w której jenerał Kurdwanowski, strażnik koronny Mierzejewski, wojewodzicowa i książę Nestor główne grali role. Tym się codzien a nieustannie zarówno z kasztelanem dostawało, a prawdziwą męczarnią dla nich był czas sądu na podskarbiego, tak że książę podskarbi, zwany Verresem, wyglądał prawie na niewiniątka i upadkiem wzbudzał litość, stawiony obok Sylli, który go miał sędzić i praktykował sobie swobodnie jak wprzód. Do rzędu najdowcipniejszych w tym rodzaju wierszyków, należy nagrobek podskarbiemu, niezmiernie wówczas powtarzany. Ale któż zliczy te stopy świstków, zagadek, spiewek, rozmów, satyr, często ohydnie cynicznych, ale z niezmiernym uczuciem i dowcipem pisanych?

Towarzystwo warszawskie z czasu sejmu czteroletniego tem się tylko zajmowało i żyło, a każdy dzień coś mu przynosił na posiłek — potępienie jednych, drugim owacją. Podnoszono pocziwego kowala, spisywano gorszące biografie senatorów, których krzesło uznać nie mogło, uwydatniając tylko dawniejsze plamy wyższem stanowiskiem; karty paskwilów przylepiane, rozrzucone w miejscach publicznych, na domach obwinionych; a co ich widziały wówczas dom Potkańskich, pałac hetmana i wojewodzicowej, dom w którym się zbierali członkowie Rady Nieustającej i t. p. zliczyć niepodobna. Poszukiwał dotknięty, poszukiwali adherenci jego autorów tych pism pokątnych, piętnujących jak żelazo gorące, ostrzono zęby, zasadzano się, grożono kijami, ale napróżno. Wszyscy wiedzieli kto pisał, a każdy milczał.

Intrygi wojewodzicowej, która z hetmanem na wspólnie pracowała, usiłując w nie pociągnąć syna, pozostającego w pośrodku i jednym podejrzanego, drugim nie oddającego się całkiem, musiały być wielkiego znaczenia, gdy je tak srogimi ścigano obelgi. Trafiło się, że ową sławną prośbę do księżnej, poczynającą się od wyrazu *przedwieczna...* na jej własnej karety drzwiczkach ktoś przylepić potrafił.

Odczytawszy ją, mało nie umarła; Kurdwanowski wraz z Lipskim jenerałem latali klnąc że autora zbiją na kwaśne jabłko, ale gdzie się mogli domacać? Palcami wskazywano szambelanów królewskich na których ciążyły podejrzenia, ale Węgierski, Molski i inni chodzili bezpiecznie po świecie. Nie jeden co milczał wobec partji hetmańskiej lub zimno potakiwał jej projektom, wynosił z domów w których się zbierała, nowy przedmiot do najjadowitszej satyry.

Nigdy też może Warszawa nie przedstawiała obrazu więcej ożywionego a wybitniejszej nie miała fizjognomji. Co krok spotkałeś postacie, wydatne typy jakie tylko wydaje społeczeństwo w sile zdrowia, lub gdy ostatecznym walczy o nie bojem. Obok Węgierskich — Bauchery, obok Zajączka — Kurdwanowscy, obok posła Inflantskiego, Niemcewicz, Trembeckiego — Molski naprzykład, typ w swoim rodzaju, lub kasztelan Ł...; obok Turskiego — Komarzewski, dalej dowcipny Turkuł, zepsuty Poniński, ognisty Kollątaj i tylu innych. Tuż szlachetniejsze postacie posłów, a z nimi Małachowscy i Zamojscy, naprzeciw hetman, wojewodzicowa, starty i mdły typ księcia Nestora, a w ostatku całe stado dworaków i dworek.

Wszystko to działało, ruszało się, zajmowało najmniejszymi dnia zjawiskami aż do sług, dworu, czeladzi, aż do woźnic co stojąc przed salą sejmową wołali do siebie — precz z *pieczeniarczami*, przodem patryjoci; każdy głośno mówił przekonanie swoje lub

je puszczal na niepodpisanej ćwiartce w świat na aprobatę, i nie mignęło jedno słówko niepochwycone, bo każde do żywota należało. Widziałeś tam na twarzach wszystkich to upojenie egzaltacją, rozmarzenie, które się spotyka tylko w chwilach stanowczych, wielkich przedsięwzięć, lub nieszczęść wielkich — słowom odpowiadały czyny, czynom szły w pomoc słowa i serca. Nie było chwili wypoczynku, nie było godziny wytchnienia; wychowani w potrzebie rozkoszy, pół dnia bawić się, pół dnia pracować musieli, a oboje wyczerpywało życie.

W tej chwili, jakieśmy rzekli, uchwały sejmowe, sprawa księcia podskarbiego, wiersze rozrzucone z tej okoliczności, były właśnie na stole wraz z nowinami francuzkiemi; a że u podszaszycy zbierali się ludzie różnych stronnictw, krom naczelników, mówiąc dosyć swobodnie, starano się być ostrożnym i nie drasnąć nikogo. Rozprawiano zawsze mniej więcej w duchu dworu, i z pewną sympatją dla partji Branickiego. Sam Ordyński bez głębokich przekonań szedł za kierownikami, nie wiele jeszcze myśląc o tem co się działo w koło niego.

Poczęła się więc rozmowa o przedmiotach bieżących, ujął ster kasztelan i zręcznie począł o podskarbie, o jego rodzinie, o dawnem życiu nawet, bo dziś wszystko wyciągano na jaw dla potępienia. Wystąpił z dobrze znajomemi sobie dziejami całego domu księcia, jego żony, syna, brata Kaliksta, śmiejąc się dowcipnie z brudów które zgrozą napelnić były powinny serce każdego człowieka. W istocie dana przez brata poręka, przyczyny dla których cofnięta być miała, tak się wydawały ohydnie, że lepiej było to pokryć wszystko litościwem milczeniem.

Ale któż wówczas miał litość?

Już przecież drugą porękę za więźnia dał był Leszczyński, a książę z niej korzystał i wszyscy przepowiadali że lada dzień uciec powinien. Rozprawiano o nim, o naradach prawodawczych, a kasztelan przywykły drwić z duchowieństwa, choć fortunę zrobił przy prymasie, na sejmie ostro przeciw niemu powstając i tu koncepta swe niesmaczne powtarzał. Właśnie ofiara, którą stan ten uczynił na potrzeby kraju, dostarczała mu przedmiotów do zabawnych ucinków. Powtarzał każde słowo senatorów, duchownych, i komentował je nielitościwemi dodatkami.

Wypadki także paryzkie budziły we wszystkich najrozmaitsze uczucia. Z uniesieniem rozprawiano o szczegółach wzięcia Bastylji, o upadku feudalizmu, o objawieniu praw człowieka, a nikt jeszcze nie umiał osądzić surowiej następstwa jakie szereg tych wypadków ciągnął za sobą. Pałano naśladowaniem, gdy obok, w przeszłości własnej praktyczniejsze prawdy leżały niepojęte, lub powierzchownym potępione sądem.

Na wypróżdki każdy najsurowiej sądził kraj swój i stary w nim porządek rzeczy; najrozsądniejsi nawet chcieli burzyć, goniąc za utopią. W czasie całej tej rozmowy, którą jakieśmy powiedzieli podsycił sejm i wypadki we Francji, Cerulli i kilka innych osób siedzieli w ostrożnem milczeniu. Kasztelan jaśniał wymową i krzyczał tak głośno jak na obradach, nie umiejąc powściągnąć do większej sali przywykłej deklamacji. Nikt nie miał nadzwyczajnego poszanowania dla miernych wcale talentów człowieka, którego przeszłość cień rzucała na nowszą i do miary czasu zastosowaną rolę, ale wyręczał wielu, gadając za wszystkich, słuchano go chętnie.

— Mości panie — rzekł powstając wojewoda K... mąż pięknej Karoliny — wszystko to śliczne może, doskonałe, ale ja nasze stare czasy wolę, a terażniejszego wyznaję że nie rozumiem.

— To nie dziw — odpowiedział, nie dając się nikomu uprzedzić kasztelan z intencją szyderstwa — są to czasy, któremi brzemienne chodziły wieki.

— Daj Boże, aby się przy porodzeniu nie okazało jak z ową górą w bajce, odezwał się wojewoda — i żebyśmy nie doczekali się *ridiculus mus* na końcu.

— Jest wielu partyzantów staroświecczynny — rzekł mowca — ale póty u nas nie będzie dobrze, póki się nie pozbędziemy właśnie starych przesądów.

Pokłanięto *przesądom*, był to wyraz przesładowany, Bóg wie co się wówczas zwało tem imieniem, wszystko co przeszkadzało i wadziło — małżeństwo między innemi liczyło się do przesądów.

— Zacni panowie — przerwał z kąta Baucher — co się tycze przesądów, jednym z najgubniejszych jest późna wieczerza, prosimy gospodarza by ją kazał przyspieszyć.

Wszyscy się z tego zwrotu rozśmiali.

— A potem do gry — zawołał ktoś z tłumu — aby czasu nie tracić.

Wojewoda ciężko stęknął.

— Wszystko u nas nic potem — rzekł — mieszczan przerabiają na szlachtę, szlachtę mieszczańią.

— I wino piją — przerwał znów Baucher — niepocziwe stare węgierskie, ale ten francuzki kwaszek co ledwie chorego mógłby zaspokoić.

— Mówisz pan o szampanie?

— Szampan! śliczny mi szampan, mruknął wojewoda.

— Doskonała anegdotka — zawołał jenerał, który usilnie widać politykę chciał przerwać, autor jej *praesens* potwierdzi, jeśli mu skromność przyznać się dozwoli. Niedawno jeszcze przywieziono kosz tego szampana za osobliwość przez Teppera, księciu Lubomirskiemu. Nadszedł właśnie Komarzewski z ranną wizytą, książę siedział w kąpieli. — Kochańciu, rzekł do jenerała, przysłano mi nowe francuzkie wino, ma to być coś osobliwego, ale też i kaducznie drogie. Trzeba by spróbować. — A! odpowiedział Komarzewski filuternie, słyszałem o tem winie... — Jakto? nie próbowałeś go nigdy? — A nie. — No, tyś przecie znawca, zrób mi tę grzeczność pójdz go spróbuj, powiesz swoje zdanie. — Zadzwoniono, wyszedł z kamerdynerem jenerał dla spróbowania wina, książę po kąpieli położył się w łóżko. Komarzewskiego niema i niema; w dobre dopiero pół godziny powraca. — A cóż? zabawiłeś się. — Dobywali, odkorkowali, marudzili. — Próbowałeś? — Próbowałem mości książę. Jakże ci się zdaje? — Tak! tak, limonadka! nie zły sobie kwaszek! ściskając ramionami, rzekł obojętnie jenerał, nie radzę księciu z tem się popisywać, bo to tego beczkę u nas każdy wypije.

Na tem się skończyło, książę ciekawy, wieczorem każe podać wina — niema go. — Gdzie się podziało? — Do ludzi, a tu okazuje się, że pan jenerał próbując, cały kosz tej limonadki wypróbował.

— Ale ba! — przerwał Komarzewski bardzo serjo — byłem prawie naczczu i świeżom się pogniewałem, potrzebowałem ochłodzenia.

— Tegoby z węgrzynem nie dokazał! — rzekł wojewoda.

— Kto to wie — odparł adjutant królewski — bywało różnie, teraz mi już jakoś nie służą, choć głowa jeszcze strzyma.

Jakby na zawołanie wniesiono wino, i kielichy poszły kołem. Cerulli wziął jeden, ale z nim jakoś manewrował, że zawsze miał go pełnym i nic nie pił. Wkrótce zaszumiało w czuprynach, rozmowa stała się żwawsza, swawolniejsza, otwarto drzwi do jadalni, tu do reszty podochocili się niemal wszyscy, a dopiero do kart. Wojewoda, który oprócz w marjasza nie grywał w nic, z kieliszkiem sobie na boku pozostał, inni rejem stół obsiedli, między nimi młody Rybiński, którego twarz od początku wieczora pałała jakąś gorączką, a oczy nieustannie zwracały się na gospodarza. Cerulli dawszy się trochę prosić dla ceremonji, posłał do swojej karety po szkatułkę i bank otworzył. Podczaszyc siadł do gry także; towarzystwo było liczne, umysły rozegrzane winem i rozmową, ale jak skoro pieniądz błysnął na zielonym stole, zaszeleściły czarodziejskie karty, serca uderzyły strachem i nadzieją, zwróciły się wszystkie twarze, upadła ożywiona pogadanka i liczenie przerywane tylko sykaniem lub wyrównywaniem stawek, rozciągnęło swe skrzydła nad niemi.

Rybiński grał z chmurnem czołem i gorączkowym niepokojem. Kilka dni temu przegrał był kilkaset dukatów, a że kieszeń jego nie była zbyt przeciążona, zdziwiono się zobaczywszy że znów ze trzysta przed sobą położył; krótko jednak przed nim poleżały i zwyczajem codziennym poczęły wędrować do banku jedne za drugimi, tak że w godzinę pozostał bez grosza. Na pięknej jego twarzy namiętność gry wyrzyła najnieszlachetniejszy wyraz gniewu — cisnął kartami o stół i powstał z krzesła, wołając głośno:

— Prawdziwie u pana podczaszycu tylko podczaszycowi grać można, on jeden wygrywa!!

— Jak to pan rozumie? — podnosząc głowę zbladły ale spokojny, zapytał Ordyński.

— Jak ja to rozumiem to mnie wiedzieć, a pan sobie bierz jak chcesz, to mi wszystko jedno.

W ręku Cerullego karty drżały, Ordyński szepnął słowo jenerałowi i grał dalej, ale konwulsywnie drżący. Rybiński powoli odszedł od stołu zgrzytając zębami.

Baucher wziął go do okna.



— Starościcu kochany — rzekł — przykrą mam misją, ale cóżes powiedział, to obelga!

— Tergo nie odwołuję!

— A zatem pojedziesz z nami do Jezernej, dasz nam satysfakcję.

— Wszelką jaką chcecie, oprócz tej żebym wam więcej przegrywał, bo tu noga moja nie postanie. Ogrywajcie sobie na wspólkę z Włochem całe miasto, życzę wam szczęścia. Słowa te wymówione w pół głosem, doszły uszu podczaszycy, który zagryzł wargi i grać przestał. Dogonił u drzwi Rybińskiego.

— W moim domu — rzekł — nie chcę się unosić i prawom gościnności ubliżyć, ale niech pan wie, że w każdym innym miejscu byłbym mu dał natychmiast naukę jak się język trzyma za zębami.

— Możemy się znaleźć i gdzie indziej — obojętnie dość odpowiedział Rybiński — kto od kogo i jaką weźmie naukę, to jeszcze pytanie.

To mówiąc trzasnął drzwiami i wyszedł. Wrzawa za nim powstała wielka, ale zapamiętali gracze słysząc ją nie ustąpili od stołu, aż Cerulli dociągnawszy talji zabastował.

Jedno śmiałe słowo rzucone w pasji przez Rybińskiego, sprawiło ten skutek na nieszczęśliwych graczach, że choć żaden ustami myśli tej nie powtórzył, wszyscy jednak spojrzeli po sobie, i nie biorąc strony podczaszycy, wkrótce opuścili go wynosząc się po cichu i zostawując z poufałami.

W godzinę może po wypadku, jenerał tylko, Poinot, który zdala był sceny świadkiem i niejakiś pan Parnawski przyjaciel domu, co się kręcił trochę przy dworze, a trochę gdzie z komina kurzyło, w pustych zostali pokojach.

Było to jakby uderzenie piorunu, wśród którego Cerulli, niby nic nie rozumiejąc, zagarnawszy grosze wymknął się cichaczem. A że zwykle bawiono się tu do dnia, a goście wcale nie wzięli strony podczaszycy, miało to wielkie znaczenie. Wiedział Ordyński, że słowo starościca obudziło podejrzenie wszystkich, zmieniając je w przekonanie prawie, że mu niepowetowaną na czci wyrządziło krzywdę. Pierwszy raz zachmurzył się jego czoło, a jenerał i Parnawski napróżno usiłowali go rozweselić i wytłómaczyć mu jako tako zniknięcie gości. Podczaszyc rozumiał dobrze co to wszystko znaczyło, a przypominając sobie okoliczności gry, swoje wygrane, stałe niemal nieszczęścia drugich, dziwił się teraz sam że wprzód nie zwrócił oczów na Cerullego.

Tymczasem trzeba się było przygotować do pojedynku, co, jakkolwiek śmiałemu, trochę zakolatało sercem. Jenerał z p. Parnawskim ofiarowali się nazajutrz do starościca pójść po warunki. Cała ta awantura natychmiast przez gości miała ogromny rozgłos w mieście, a że często słowa jednego dosyć by cień rzucić na najpocziwszego człowieka, cóż dopiero gdy są pozory słuszności? Podczaszyc w jednej godzinie odsądzony został od czci i wiary. Wszyscy szeptali że dom trzyma nad skalę, że przyjmuje po królewsku, wydatki ma ogromne a dobra obciążone, i każdy odchodził jeśli nie z przekonaniem szalbierstwa, to z wątpliwością obelżywą o pocziwość Ordyńskiego.

## VI

Jedno nieszczęście nigdy samo nie idzie, trzymają się one pod ręce, i wloką gęsiego. By jedno na próg, tylko co i drugich nie widać. Nazajutrz podczaszyc siedział rano u siebie zadumany i ponury czekając powrotu posłów, nie wiele o pojedynku, więcej o różnych jego tłumaczeniach rozmyślając, gdy mu znać dano że marszałek dworu, miał już bowiem i intendenta, niejaki pan Frajer, nastroczony z ręki jenerała, chciał się pilno z nim widzieć. Nie lubił Ordyński tych posłuchań i narad, wiedział bowiem że koniec końcem zamkną się ogromnym rejestrem i żądaniem pieniędzy, a kasa się wyczerpywać zaczynała, ale cóż było robić.

Głuszę i dobra Ordyńskich dobrze już była od śmierci starościnej zahartowała podczaszyna, która powypuszczała w zastawy, i dzierżawy co mogła, zabrała pieniądze, chcąc sobie kupić willę jakąś w pobliżu Florencji. Reszty co z tamtąd przyszło, podczaszyc tracił, i jeszcze pozaciągał był znaczne długi, tak że niewiadomość tylko stanu interesów spokojnym go o nie czynić mogła; w istocie były w najstrasliwszym nieładzie.

Pożyczał w Warszawie na wszystkie strony wielkimi sumami, u bankierów, u żydów, winien był po handlach za towary bardzo wiele, a choć dotąd kredyt się włókł, bo coraz

wierzycielom dawano coś na rachunek, długi na czas w którym zaciągnięte zostały, były przerażające.

Karty trochę, dom, życie wystawne, wzięły co z kąd się urwać dawało, kieszeń była pu-  
stą. Czerpali z niej przyjaciele, zbytek, rozrzutność, namiętność i złodzieje. Widzenie się  
więc z panem Frejer, wcześniej przykrem poczuł podczaszyc, a gdy zobaczył tego jegomo-  
ści, w czarnym fraku szczelnie pozapinanym, nisko kłaniającego się w progu, ogromną  
dźwigającego księgę, dobrze mu już znaną, skrzywił się i porwał zniecierpliwiony. Miał  
on ten chwalebny pański zwyczaj, że nigdy w rachunki nie wżerał — dawał pieniądze,  
brał, sypał, ale się nie rozpatrywał ani jak przyszły, ani którędy poszły — wszelka praca  
i natężenie umysłu choć chwilowe, były mu nieznośne.

— A cóż tam pan powiesz panie Frejer — rzekł do intendenta, który zawsze nasro-  
żony, poważny, nigdy nie dopuszczający się uśmiechu, wyglądał gdyby Kato, choć z tą  
miną stoicką kradł gorzej wszystkich co kradli — (a było ich dosyć!!).

— JW. panie jest okoliczność ważna.

— Co tam przecie?

— Ot dziś rano jak gradem sypnęli mi rachunkami dostarczający kupcy, zwąchawszy  
o jakimś pojedynku.

Podczaszyc wstrząsnął się od gniewu.

— To nie pora na wypłaty! — zawołał.

— Jabym tych ichmościów przykładnie ukarał — rzekł z miną rezolutną Frejer —  
płacąc im zaraz i za grosz u nich nie biorąc nigdy więcej — ale w kasie nie ma pieniędzy.

— Waćpan nigdy nie masz pieniędzy!

— Jam temu nie winien, JW. pan zechcesz przejrzeć rachunki, feniga nie brakuje,  
a na każdy ekspens są aneksa i dowody.

— A dajcież mi pokój!

— Ale cóż pocznę z temi natrętami?

— Odprawić ich, zbyć, wypędzić, co waćpan chcesz! pierwsze pieniądze które wpłyną,  
służyć będą na opłacenie ich, zmienię kupców...

— Jednakże JW. panie, trzeba by coś radzić, mogą być natrętni.

— A ludzie od czego! — krzyknął podczaszyc w gniewie — odpędzić! — Pomiar-  
kował się po chwili. — Zresztą — rzekł — zawołać Aarona, wezmę u niego i zaspokoję  
tych ichmościów.

— A jeźliby Aaron chybił? — spytał drobnostkowy i regularny Frejer.

— Natenczas weźmiemy gdzieindziej, a waćpan mi dzieciństwem tem głowy nie kło-  
pocz — ile to wynosi?

— Ogółem może przejść trzy tysiące dukatów, nie licząc tych, co się jeszcze nie upo-  
minają.

— Tak wiele?

— JW. panie, to jeszcze nie wszystko.

Podczaszyc pochodził żywo.

— Dość tego — rzekł — nie pora to rachunków, innym czasem, innym czasem...

Frejer skłonił się, ale uparcie pozostał i księgę nawet począł rozkładać.

— Czegóż chcesz jeszcze? — niecierpliwie spytał Ordyński.

— Co mam zrobić, jeźliby gwałtownie się naprzykrzali?

— Mówiłem ci, do jutra! Lub... co chcesz... rób, radź, płac, wypędzaj, a mnie się nie  
pytaj co począć, co innego mam na głowie.

— Kiedy JW. pan przyjsć każe?

— Gdy cię zawołam, panie Frejer.

Niemiec potarł czoło frasośliwie.

— Bądź pan zdrów.

— Ale mi grożą sądem i zajęciem...

— Śmieliby? ta hałastra?

— Nie wiem czego się tak zlekli, jest to okropne zuchwalstwo — ale potrzeba radzić,  
potrzeba radzić.

— Posłać więc po Aarona, do jutra...

Jeszcze by był może stał dłużej we drzwiach Niemiec, który nie łatwo z placu schodził, ale jenerał i pan Parnawski weszli właśnie, pierwszy blady i sztywny, drugi nadto czerwony i zmieszany widocznie.

Podczaszyc spojrzawszy na nich poznał że nie musiało im pójść gładko. — Jenerał milczał nie spiesząc mówić, kapitan Parnawski, (był bowiem jakimś kapitanem *in partibus infidelium*) chodził rozgorączkowany. Frejer skłonił się, odszedł powoli. Ordyński przyskoczył do nich niecierpliwym.

— No jenerale, mów! kiedy? gdzie? jak? coście postanowili!

Baucher połknął ślinkę, odchrząknął, spojrział na towarzysza i jak to bywa gdy przemówić trudno, widocznie na niego chciał zrzucić ciężar spowiedzi. Ten sapał, ale nie okazywał wcale ochoty mówienia, ruszył ramionami i odskoczył z pantominą zdającą się oznaczać — a mnie to do czego?

— Cóż to jest? no! mówcież przez litość — z kolei do obu się zwracając, wykrzyknął podczaszyc — mówcie!

— Ale czekajże niech się wysapie — odpowiedział jenerał — wreszcie — niech się namyśle od czego mam począć.

— Cóż tu się namyślać? kiedy? gdzie? jaka broń?

Znów Baucher wejrzał na kapitana jakby go o litość prosił, a kapitan się zrywał tylko, uciekając od niego w drugi koniec pokoju.

— Jenerale, tylko bez tych powijaczek, mów, proszę, coście zrobili! Chcecie bym zwarzował, przecież się nie złąknę!

— Ale bo! ale bo! — przerwał stary dworak. — Podczaszycu, każ mi dać kieliszek wina... w gardle mi zaschło z gadania i gniewu... Rybiński warjat!

— Wiem o tem!

— Głupi człowiek!

— Być może, ale strzelać się z nim muszę.

— Ale ba. Rybiński — wykrztusił wypiwszy wino Baucher — Rybiński bo nie chce się bić.

— A toż znowu co? — krzyknął Ordyński — chce żebym go zbeszcześcił publicznie? Jakąż może mieć racją? Wczoraj sam prawie mnie wyzywał.

— Tak, ale tu nastąpić musiały jakieś podle rady i ukartowano inaczej.

— Co mogli ułożyć? wrąc i tupiąc nogami jak dziecko, zapytał podczaszyc.

— To głupiec sam nie wie co gada!

— Ale cóż mówi na miłość Boga, co mówi? nie drażnij mnie, oszaleję.

— Co? chcesz wiedzieć co? — przerwał Baucher, porywając się z kanapy cały zburzony, bo czuł że mu te sceny żółć poruszą i zrobią chorobę, która zwykła się była kończyć czasem żółtaczką — co? ot co plecie, truteń — że ponieważ — ale mów bo Parnawski!

— Albo to pan jenerał gęby nie ma! — zuchwale odparł kapitan.

Podczaszyc stał blady jak ściana, niemy, a myśl jego trafiać już musiała na obelgę, którą miał odebrać.

— Mówi Rybiński — wykrztusił Baucher — nie będę się z nim bił, bo kto szulerów w domu trzyma i gra z nimi na wspólną ściągając do siebie na karty, ten z uczciwym człowiekiem mierzyć się nie wart. — Wypowiedziawszy wreszcie te ciężkie słowa, jenerał padł wysilony na krzesło.

Ordyński czerwieniał, bladł, zmieniała mu się twarz kilka razy, zdawało się że zemdleje i padnie, słowa zastrzęgły mu w gardle, pot wystąpił kroplami na blade jego czoło, w ostatku poczał przychodzić do siebie i rzekł ścinając usta:

— Dziś mu jak psu w łeb strzele.

— Nie — odpowiedział jenerał — to już zły interes, wiesz zapewne czem to pachnie pod bokiem króla, w czasie sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską taka awantura. Przypomnij sobie jak sądzono Taylora że się tylko na Ryxa porwał! Jabym po prostu nasłał na niego ludzi i kazał mu, jak Grabowski Stokowskiemu, wyciąć odlewanych sto nahajów, to by go rozumu nauczyło.

— To mało! — wybuchnął podczaszyc — to nic! plama, którą rzucił na mnie, krwią się tylko zmyć może i powinna.

Zadzwoił ręką drżącą.

— Charles — rzekł do kamerdynera — podaj mi krucice, proch i kule.

Jenerał który wszystkich podobnych tragicznych historii nie lubił, a wiedział że się tu na coś nie żartem zabiera, miał się już ku rejteradzie. Parnawski patrzył i milczał.

— A gdyby — odezwał się — wprzódki kijami, jabym panu podczaszycowi nastreczył do tego bardzo tęgich ludzi, co by go w biały dzień wyciągnawszy z karety gotowi osmagać.

Podczaszyc słowa nie odpowiedział, tylko usta dumnie podniósł, brwi ścisnął i począł w milczeniu nabijać krucice.

— Ale bo nie wiesz jeszcze katastrofy — dodał jenerał schylając się już ku czapce — ten szelma Cerulli, kat go wie co za jeden...

— Cóż znowu Cerulli? — spytał podczaszyc drżąc a usiłując udać flegmatyka.

— A, uciekł gałgan z miasta wczoraj jeszcze, *nec locus ubi Troja fuit*, zabrał się z matkami i drapnął w nocy, Bóg wie dokąd.

Podczaszyc znów błady się zrobił jak ściana, i zęby straszliwie mu się zacięły.

— Ha! — rzekł — i temu nie radzę się spotykać ze mną!!

— Ale bo w istocie — z wymówką cichą wystąpił Baucher — dość byłś nieostrożny podczaszycu, kto to ludzi tego kalibru wpuszcza tak na poufałej stopie do domu?

— Alboż go nie przyjmował hetman, ksiązę marszałek, kasztelan i inni...

— Tak, gdy go tu wprzód poznali! Kto wie co to za ptaszek. Rybiński słysząc zgrał się do koszuli i długu zrobił z tysiąc dukatów, nie dziw że go to za serce wzięło. Inni prawdę powiedziawszy także nie małe tu sumy posadzili, choć ja narzekać nie mogę, ale ja gram ostrożnie i rano wstać potrzeba żeby mnie ociąć!

Podczaszyc milczał.

— Jadę natychmiast — rzekł do jenerała — będę się do nocy włóczył póki Rybińskiego nie przydybię i w łeb mu nie wypalę.

— Zdaje mi się — chłodno odparł Baucher — że go dziś nie spotkasz. — A pomyślawszy, że wypadaloby niebezpiecznej awanturze zapobiedz, wziął za kapelusz i sposobił się do wyjścia, mrugnawszy tylko na Parnawskiego, żeby pozostał i podczaszyc pilnował. Kapitan chętnie to uczynił, ale z Ordyńskim ciężka teraz była sprawa, ani się słowa od niego dopytać, nie wiedział co się koło niego działo, chodził obłąkany. Nie pożegnawszy jenerała, nie spostrzegłszy Parnawskiego, położył pistolety nabite i począł się machinalnie ubierać, spiesząc i targając co mu podawano.

## VII

W godzinę potem zaszła kareta, i Ordyński w kieszenie fraka powrzucawszy krucice, wyjechał z wizytami, ale jenerał domyślając się gdzie być może, wszędzie go uprzedził.

Czuł on, że taka obraza płazem Rybińskiemu ująć nie może, obawiając się wszakże, by w pierwszej chwili gniewu nie skończyła się bardzo tragicznie, przeleciał ważniejsze domy, do innych rozesłał oznajmując co się święci. Część też wczorajszego wypadku w mieście wiadoma była, i prawdę mówiąc, nienajlepsze uczyniła wrażenie, gdyż każda potwarz przyjmuje się łatwo, a przyjęta wyrasta szybko. Przypominano sobie zbyt pańskie podczaszycu życie, przebąkiwano o zrujnowaniu, tu znów ucieczka Cerullego, zarzut do reszty czyniła podobnym. Kareta podczaszycu wszędzie zastała drzwi zamknięte. Był to dla niego cios ostatni, którego mężnem sercem znieść nie umiał. Im mocniej przekonywał się, że go nie przyjmowano umyślnie, tem boleśniej cierpiał i wpadł prawie w paroksyzm szału, gdy mu na ostatku i drzwi wojewodziny odmówiono.

To go w samo serce uderzyło najboleśniej.

— Do domu! — zawołał — do domu!

Powóz potoczył się po bruku, a podczaszyc w głęb jego się rzuciwszy, patrzył tak oślepieniami oczyma na migające ulice, że nic nie widział przed sobą, i kilka osób z którymi się spotkał nie poznał.

Z drogi zmieniwszy myśl, kazał zawrócić do jenerała. U bramy Krakowskiej, żebrak nawet Orlandini z pychą się jakąś od niego odwrócił, niby go nie spostrzegł, uczuwszy zapewne zdaleka wypróżnione kieszenie. Jenerała równie jak innych w domu nie było.

Podczaszyc pomyślał i kazał się wieźć do Frascatelli.

Nie wiem dla czego mu teraz na myśl przyszła, gdyż bardzo dawno jej nie widział. Może u niej kogokolwiek ze znajomych spotkać się spodziewał, potrzebując gwałtownie rady, bo szalał zostawiony sam sobie i chwilami przebiegało mu przez głowę wpaść do

mieszkania Rybińskiego, i we własnym domu w łeb mu wypalić. Że jednak krewny biskupa kujawskiego stał obok niego i prawie z nim razem, a dom senatora i posła dwojako był nietykalny, zawahał się Ordyński.

Frascatellę zastał samą jedną, smutną, zatopioną w fotelu i chorą. I ona od czasu jak jej nie widział wiele się odmieniła — i ją odstąpili przyjaciele znalazłszy nazbyt surową, zbyt dziwną, a tymczasem biedne dziewczę warzyła i wysuszała tęsknota za krajem, o którym marzyła we snach, oplakiwała na jawie. Choroba niszczyła ją gwałtownie, za nią przyszedł i niedostatek zajrzeć do obsypanego wprzód darami możnych mieszkania. Pusto było do koła, ona sama jedna, łzy w oku, twarz blada, wejrzenie tylko błyszczące jeszcze a usta uśmiechnięte smutnie jakoś, grobowo.

— A! dawno! dawno! jakieśmy się nie widzieli podczaszycu — zawołała Frascatella, podając mu rączkę wyschlą i bladą — cóż to się stało żeś tak był o mnie zapomniał? Tak dawno żadnej już wesołej nie widziałam twarzy, nie słyszałam uśmiechu! Wszyscyście mnie porzucili, dzięki ci, żeś choć późno sobie przypomniał że ja jeszcze żyję!

Podczaszyc stał przed nią, ale tak zmieniony, drżący, blady, że za drugim wejrzeniem Włoszka domyśliła się wielkiej jakiejś w życiu jego zmiany, i pomimo osłabienia porwała się, załamała ręce, pytając ścichłym nagle od uczucia głosem.

— Co ci to? podczaszycu!

— Mnie? nic! — odpowiedział Ordyński nieprzytomnie, siadając drżący, bo czuł że mu się nogi chwiały, nic... nic.

— Jakto, nic? — wpatrując się w niego zapytała tancerka — nie możesz mnie zbyć taką odpowiedzią, na twarzy twojej napisane jakieś nieszczęście. Co cię spotkało? mów? kto cię zdradził? kobieta?

Pierwsza jej myśl była o kobiecej zdradzie, podczaszyc z pogardą ruszył ramionami.

— To się nie liczy! — rzekł z gorzkim uśmiechem.

— Ale mów pan, na Boga!

— Ja i ty, widzę — rzekł Ordyński oglądając się — jesteśmy zarówno zdradzeni przez cały świat i opuszczeni od wszystkich. Wczoraj jeszcze wieczorem byłem ich ulubieńcem, dziś się mnie zaparli i odepchnęli. Ale się pomszczę! pomszczę się krwawo!

Frascatella nic zrozumieć nie mogła, oczy jej żywo biegały po twarzy przybyłego, by tajemnicę wy badać, a nic odkryć w niej nie umiały.

— Powiesz-że mi pan — co to się stało?

— Na co mówić? ktoś ci tu inny zapewne pospieszy przynieść wieść o mojej hańbie, o wstydzie. Ja idę, ja iść muszę...

Zerwał się. Biedna dziewczyna przestraszona, krótką chwilę sądząc, że go do niej serce i litość przywiodły, opadła na krzesło smutnie spuściwszy głowę na piersi.

— Myślałem że tu kogo znajdę — rzekł. — Sapię, jenerała, kogokolwiek, chciałem wiedzieć co się dzieje ze mną! poradzić! idę... lecę dalej!

— Biedny! — ze łzą w oku szepnęła Włoszka, tak był szczęśliwy niedawno! tak mu się świat uśmiechał. Jak on teraz potrafi znieść nieszczęście, kiedy ci co się z nim zżyli, usychać muszą na ręku jego i umierać! — Podczaszycu! — dodała głośno — słowo poproszę cię tylko. Ja od kilku tygodni z krzesła się już nie ruszam! ja nic nie wiem. Pocziwy Bekler, który mnie przez litość odwiedza, zakazał mi tańca pod karą śmierci... ale to nic! ja i tak umrzeć muszę... Może byś mnie chciał dokąd posłać? Może ci na co przydać się mogę? mów, proszę...

I zerwała się gorączkowo z fotelu chwytając za poręczę i stół, twarz jej zarumieniała się, usta drgały; podczaszyc spojrzął i serce się mu otwarło — nieszczęście je poruszyło dopiero, łza zakręciła mu się w oku.

— Dziękuję ci — rzekł — dziękuję serdecznie, ale cóż mi tu pomódz możesz gdzie idzie o życie, o krew, o zemstę...

Frascatella zadrżała i upadła zemdlona. Podczaszyc zostawił ją na ręku służki, a sam jak szalony poleciał znowu pukać od drzwi do drzwi... ale wszędzie z zimną twarzą odpowiedziano mu... nie przyjmują! Wściekły zawrócił do siebie.

Mrok szary poczynał zalegać ulice, a chmura nad miastem zwieszona, milcząca, jasnymi błyski wiosennej burzy rozświecała niekiedy fantastycznie ulice, na których przechodzący i przejeżdżający migali jak cienie.

Nagle zatrzymała się karetka i twarz djabelska Fotofera ukazała się w jej oknie. Podczaszyc schwycił się i machinalnie porwał za pistolet, djabeł się rozśmiał tylko.

— Tobiem winien — zakrzyknął Ordyński z pasją — całe moje nieszczęście... tyś jego sprawcą...

— Ja? ja? co? — spytał obojętnie cavaliere.

— Tyś do mnie sprowadził tego psa Cerulli, za którego pokutuję.

— Cerulli to mój kompatrjota — no? — i cóż?

— Nic nie wiesz?

— Ja zawsze wiem wszystko.

— To oszust!

— Nie, podczaszycu, zacny człowiek!

— Po cóż uciekł?

— Uciekł? on? wysłany został w ważnej, bardzo ważnej sprawie łóż Melchizedecha...

— Zgubił mnie!

— Jakto zgubił? — spytał szatańsko się śmiejąc Fotofero — samiście dobrowolnie głowę stracili...

— A mógłżem nie stracić jej? ty wiesz wszystko... drzwi mi dziś zamykają, każdy odwraca się odemnie.

Błyskawica oświeciła w tej chwili twarz cavalierra zimną i przejętą nielitościwem szuderstwem.

— To naprzód źle — rzekł chłodno — że nie masz pan taktu i powściągnięcia. Świat sobie, my sobie — niech gadają, odwracają się...

— Cóż to za rada?

— Gdybyś pan przed jenerałem papłą nie narobił wrzawy i hałasu — jużbyś do tej pory miał w rękach Rybińskiego i byłbyś czysty.

— To może prawda — odparł podczaszyc — ale cóż począć?

— Masz pan pistolety?

— W kieszeni.

— Każ zawracać — rzekł cavaliere wsiadając do karety — jedziemy razem, dam ci ofiarę w ręce. Zemsta jest zbyt szlachetnym uczuciem, uczuciem dzieci natury, dodał śmiejąc się, bym ją miał tamować jak drudzy... Krew, tak, tylko krew zaspokoić ją może.

— Hej! na Nowolipie! — krzyknął do woźnicy. Podczaszyc ostygł jakby czarodziejską dotknięty laską, widząc się tak blisko zabójstwa, które przez cały dzień marzył i układał. Słowa cavalierra otrzeźwiły go dziwnie, ale cofać się nie chciał, myśl tylko podawała mu wszystkie zbrodni następstwa i przerażała niemi.

— Trafimy na Rybińskiego — rzekł Fotofero — pieszo idącego od swoich przyjaciół, poznasz go pan łatwo po jasno-piaskowym płaszczu, celuj tylko dobrze, a potem uciekaj.

— Uciekać! — zawołał podczaszyc, któremu się w głowie pomieścić nie mogło jak teraz Warszawę porzucić, tak wszystkie węzły, które wprzód lekceważył, silnie go do niej krępowały, a ze wszystkich najmocniej miłość ku wojewodzinie. — Uciekać! ja nie mogę!

— No! no, o tem potem, zrobisz co zechcesz — rzekł cavaliere — teraz idzie nam o rybkę naszą, bacność, celuj pan dobrze, życzę szczęścia!

To mówiąc, kazał się w rogu ulicy przyzastanowić karecie, sam pod rękę ujął podczaszycą i mimo kropiącego deszczu, wyprowadził go z powozu na miejsce jakiegoś pod domami.

— Stój pan tu i uważaj — rzekł — za chwilę Rybiński iść musi...

Uchylił kapelusika i zniknął.

Najrozmaitsze uczucia poczęły miotać Ordyńskim, w którym na nowo zawrzała chęć zemsty i odezwała się zadana obelga. Dobył krucice, odwiódł kurki i z okiem obłąkanem upatrywał piaskowego płaszcza.

## VIII

Sienińskiemu i jego córce droga się jakoś nie wiodła, i stary wkrótce zmęczony, chciał już po kilkakroć zawracać do domu. Możeby to był uczynił, gdyby nie córka dodająca mu ducha i odwagi. Nareszcie przekołatawszy z biedą pół drogi, bliżej już będąc Warszawy niż domu, musiał nieborak kończyć co rozpoczął. Żydek Abramko wcale nie był na

furmana stworzony, koni do zbytku żałował i obroku także, jechał nadzwyczaj powolnie, często się zdrzemował, nie bardzo na trakt uważał, a że co do najlichszych gospód dla tańszego furazłu zajeżdżał, Sienińscy nie wiele mieli wygody. Nie było przytem dnia, żeby os nie pękła, koło nie zleciało, uprząż się nie psuła, a przynajmniej kilka razy nie porwały postronki, co wszystko wiele opóźniało jadących i bardzo ich niecierpliwiło.

Abramko zaś nie dawał sobie nawet mówić, żeby w czym sam lub konie jego winne być miały, a ze starym ujadł się zęb za zęb, dowodząc na całym świecie lepszych koni i furmana nie dostanie.

Anusia, spokojny świadek tych niepowodzeń, robiła co mogła by ulżyć ojcu, w drodze nie myśląc o sobie wcale, a okiem śledząc rychło się pokaże ta upragniona Warszawa.

Ale wiele wież się pokazało i znikło, wiele minęli miasteczek i białych murów i dworków, które biednę zwodziły, a stolicy nie było i nie było widać jeszcze.

Jednego wreszcie poranka, mgłą i dymami uwieńczona, rozsiadła szeroko nad brzegiem pięknej Wisły, czarodziejską swą masą dziwnie skupionych domostw, pałaców, kościołów, zaświeciła stara Mazowska królowa. Annie serce zabiło.

— On tam! on tam! zawołała, i z wielkim strachem poczęła się modlić.

Ogrom miasta które w miarę jak się zbliżali coraz potężniej się rozrastało i zdawało rozciągać bez końca, przeraził ją i zasmucił.

— Jak go teraz znaleźć w tym świecie, w tym wirze!

Stary także Sieniński przypatrywał się grodowi w posępnym milczeniu, z niejakim wyrzutem spoglądając na córkę która go aż tu zawiodła. I jego zatrwożyła ta mnogość murów, to mrowisko ludzi. Już zbliżając się do miasta, zamrużywszy oczy poznać je mogłeś po otaczającym powietrzu, w którym unosiło się tysiące różnych wyziewów dziwnych; po wrzawie ludu co płynął i odpływał z tego morza. Wozy z drzewem, włościanie z wszelkiego rodzaju na targ idącymi zapasami, wojsko, słudzy pańscy, karety, cugi, poczty, żydzi, szlachta, żebractwo, coraz tłumnie w miarę zbliżania się otaczali wózek. Anna tuliła się do ojca, który zdawna na wsi żyjąc, ani takiego gwaru, ani ścisku i ruchu wyobrażenia nie miał. Kłaniał się co chwila próżnym powozom i po bratersku salutował panów szlachtę na podjezdźkach z obrokiem w trokach kłusujących do miasteczka. Malownicza rozmaitość strojów czyniła ten tłum mieszaniną oryginalności pełną; każdy poczet wojskowych szedł w innej barwie, każdy prawie żołnierz inaczej umundurowany, ten zielony, drugi czerwony, ów z piórem, inny z kitą, — w baranich i lisich kapuzach szlachta, w sobolich kołpakach żydzi, mieszczanie w holenderskich kapeluszach, kontusze różnych województw, żydówki w muszkach, perłach, załóżkach i pantoflach, chłopci w swoich szarych sukmanach, Węgry olejkarze w sinych płaszczkach, pobożni pielgrzymi ciągnący do Częstochowy w sukniach czarnych, księża wszelkiej barwy — kogoż tam nie było! Wśród tego chaosu i tłumy, ciągnęły karoce pańskie o czerwonych kołach, długie, wyłancane z wysokim koziołkiem, z lokajami na tylnych stopniach, pozaprzęgane dereszami, izabellami, tartanami, lub malowanemi końmi (był jeszcze i ten zwyczaj); tu i owdzie przemykał się posłaniec z listami, kursor pieszy, lub kozak z Ukrainy na dziarskim koniu w burce, z osełdecem z pod czapki wymykającym się za ucho.

Wjechawszy na Pragę, Abramko, stary Sieniński i Anna tak się zdurzyli, że żyd rady sobie dać nieumiejąc, w początku pośród powozów i koni ścisku, stanął chcąc przecze-kać natłok, myśląc że był chwilowy. Ale się wkrótce pomiarkował że się tego nie rychło przebierze, i udając że koniom tylko dał wytchnąć, pociągnął powoli dalej, kierując się jak mógł na most.

— Więc to nie była jeszcze Warszawa! zawołał stary Sieniński w duchu, cóż to dopiero tam będzie.

Po setnych dopytywaniach o dworka brata, stary odszukał go nareszcie na Bednarskiej ulicy i co prędzej wjechał na dziedzińczyk chcąc trochę odetchnąć. Tu żywego ducha w początku, nareszcie z pod mizernej kletki zbitej z tarcic i desek, do starego muru przypartej, wysunęło się coś bardzo niepoczesnego, tak dziwne jakieś stworzenie, że w początku rozeznąć było trudno mężczyzna czy kobieta, a nawet czy człowiek. Figurka ta miała może półtora łokcia wysokości, ogromny garb na plecach, głowę skrzywioną nim ku ziemi, nadzwyczaj wielką i straszną, ręce niepomiernie długie, a nogi koszlawe zakończone stopami kolosalnych rozmiarów. Stworzenie to okryte łachmanami, było poczwarnie brzydkie i odrażające. Podniosło nieco przyrosłej głowy, otworzyło usta i krwawemi

oczyma błysnęło na przybyłych, ale gdy mówić szybko poczęło, nie było go sposobu zrozumieć. Poczęto pytać o Sienińskiego, ale ani chciał odpowiedzieć, ani myślał odpowiadać, podniosłszy kij zaczął wypędzać, krztusić się, łajać, i choć wyrazu żadnego dopytać nie mogli, domyślili się łatwo że ich precz odganiał. Zajadły ten obrońca podwórza, był jedynym stróżem i sługą pana Kaspra Sienińskiego.

Skąpiec wybrał go sobie przez oszczędność z pod kościoła Bernardynów i umówił za jedno nocne w budce schronienie, co ledwie dobremu psu służyć mogło, do pilnowania domu. Żebrak powinien był zawsze na noc powracać, i gdy Sieniński wychodził rano, dworku przez ten czas pilnować. Resztę czasu kaleka siedział pod kościołem blizkim za jałmużną. Dziś pierwszy raz od niepamiętnych czasów zobaczywszy zajeżdżający w dziedziniec wózek, sądził że szturmem chcą wziąć domostwo i bronił go jak mógł. Już żyd dobrze po plecach oberwawszy chciał się cofać, gdy stary pan Kasper powrócił z wotywy przed N. Panną, której co dzień u Ś. Jana słuchał, i walkę tę przerwał nareszcie.

Dwaj bracia spojrzeli na siebie, nie poznali się ale domyślili i z mokremi oczyma rzucili w objęcia. Warszawiak starszy był znacznie od wieśniaka, ale o wiele wydawał się młodszym. Był to wysokiego wzrostu, znać piękny niegdyś mężczyzna, ubrany czysto, zwinny, gadatwus, dosyć wesół, z ogromnym siwym wąsem podkręconym do góry, z wysoką laską w ręku, ze srebrnym w uchu kółczykiem, który do polskiego stroju nie wiedzieć jak się przyplątał. Kółczyk ten, pamiątka po pewnej pannie Domicelli, dla miłości której dał sobie niegdyś pan Kasper ucho przekłóć, pozostał mu na starość jedynym po niej wspomnieniem.

Bracia którzy się wieki nie widzieli, dziwili się swej starości, gospodarz potem zwrócił się do Anny, którą galancko w rączkę pocałował, gdy ona właśnie to samo przez uszanowanie dla stryja uczynić chciała.

— No Hołodrygo, rzekł przybyły do żebraka stojącego jeszcze z podniesionym kijem, ruszaj sobie wasze pod kościół, a ty żydku zamykaj wrota i pilnuj się bo tu złodziejów a sprawnych więcej niż wody w Wiśle. Ty zaś kochany bracie i kochana moja synowiczko, do środka proszę, proszę, odpocznijcie.

Kamieniczka a raczej dworek Sienińskich, wielka to była lichota; ściśnięty dwoma wielkimi kamienicami piętrowymi, wyglądał jak grzybek między dębami, nisko, i ubogo, zdawna niereperowany, ściany miał czarne, dach dziurawy, okna niezbyt całe, a stary skąpiec niemogąc nająć nikomu, sam cały zajmował.

Wnijście było jedno tylko od podwórza, u dwóch okien z ulicy kraty grube jak w więzieniu, a że obok na przeciw stały wyższe domostwa, a uliczka była wązka, ledwie trochę bladego światła dochodziło do ponurego wnętrza. Izby były stare, niskie, sklepione, wilgotne, sień czarna, dwa długie pokoje po bokach, większy jeden po środku, od dziedzińca ciupek parę całą zajmowały budowę.

Pan Kasper wprowadził gości swoich do głównej największej izby, w której że był czarny stół, trzy podobne stolki, ława, piec z zielonych kafel i wielki Pan Jezus na ścianie — zwała się ona gościnną.

Al! jak straszne się to wydało więzieniem po przestronnych i wesołych mieszkaniach w Głuszy, po jej drzewach i ptaszętach otaczających każdy budynek. Tu tylko skrzyp wozów, wołanie woźnic i kłatwy ludzi słyhać było, a trochę błota rozlane na pogarbionym bruku stanowiło widok cały.

— Siadajcież proszę, odezwał się stary — odpoczywajcie. Bieda moja że gospodarstwa w domu nie mam żadnego, a to bym was rad czem poczęstować. Ale ja tu nie jadam, rzekł krztusiąc się — jest tu kuchenka, można by coś zwarzyć, nawet reszotka drewek z zimy się plącze... może macie też co z drogi.

To mówiąc spojrzął po przybyłych i niebardzo rad znalazł ich smutnemi, zaraz z tego wróząc sobie o goliźnie, której się obawiał gorzej moru.

— Rozgośćcie się tu sobie, Anusia każe znosić tłómczki, a my z bratem dodał, może pójdziemy pogawędzić do mnie.

To rzekłszy i ciekawie spojrzawszy na manatki które żydek ściągał, wziął Sienińskiego pod rękę i szedł z nim do swojej izby.

Ta smutniejszą jeszcze może była od pierwszej, ubóstwo czy skąpstwo biło z niej przykro w oczy. Żadnego prawie sprzętu, nic do wygody, łóżko a raczej wyleżany barłóg, stół



rzeźbiony bez nogi kijem podparty, fotel bez siedzenia deską pokryty, kufer stary otworem, a z niego widać liche rupiecie, w kominie kupka popiołów, w kącie miotła, u drzwi szczerbaty dzbanek, kilka świętych obrazków, Częstochowskiej fabryki, na ścianie rzędem poprzyklepanych, oto wszystko. Była to cela Anachorety, zimna, ponura, ogołocona ze wszystkiego co oko zatrzymać i rozweselić mogło. Przybyły pan Jan, przywykły do wygodek, uczył dreszcz przechodzący po plecach i smutnie oglądając się westchnął.

— Ale ty widzę coś braciszku — rzekł — w nienajlepszym jesteś stanie — tak u ciebie ubogo!

— A! a! westchnął Kasper — jak widzisz — istotnie, ledwie się żyje — czasy drogie, tylko że z głodu nie umrę. Dworek kosztuje co rok, a grosza z niego nie mam złamanego szeląga — jeszcze stróża płacę, a co do ratusza nabiorą, strach! Jeszcze to taka szatańska ulica że i w komorne nikt się nie stręczy — a ciężko! ciężko!

Spojrzał z ukosa na pana Jana.

— Dobrze żeście do mnie się zwlekli, weselej jakoś razem będzie, dwie izby wam odstąpię — za to będziecie mnie wiktować... i opalać a zresztą i oprac możebyście też powinni, i do opłat miejskich się przyłożyć — a ja już sam nic od was za to nie wezmę.

Znów spojrzał badając.

Stary pan Jan nic nie mówiąc oglądał się, tak mu ta nędza zdawała się dziwną i niepojętą.

Anna tymczasem w pierwszej izbie płakała trochę schwytna chłodem, pleśnią i ciemnotą tego mieszkania za serce.

— Gdzie on? mówiła sobie, jakby go tu znaleźć? jak się o niego dowiedzieć? — jak tu jakoś smutne życie! zdaje mi się żem w więzieniu.

Nazajutrz już weselej wyglądały izby, bo w nich gość Anusia ustroiła trochę puste kąty, oczyściła co się dało. Gospodarz poglądał na jej robotę z rezygnacją, ale jednak bardzo chwalił w bijaniu ćwieków wścianę.

Odszedł z rana wedle zwyczaju na mszę do Fary, resztę dnia ciągle siedział z przybyłymi. Gaduła to był dość miły, człek bywały, z którym gdyby nie jego śmieszne skąpstwo, wybornieby żyć można. Stękał tylko gdy mu o sobie mówić przyszło, o drugich różne dykteryjki rozpowiadał, śmiejąc się, żartując.

Ale co tylko kieszeni jego dotykać mogło, wyprowadzało go natychmiast z tej błogiej wesołości i rzucało w gniew i niecierpliwość, nie wiem bowiem czy kiedy w kim namiętność gorsza pod słońcem, do wyższego posunęła się stopnia jak u niego. Co dziwniejsza nie rozpowiadał o niczem częściej jak o swojej rozrzutności i wydatkach, wymawiając sobie nieustannie nieopatrzność, zbytni szafunek groszem i prorokując utratę ostatka niewielkiego mienia. Pochwalił się przed bratem że przez miłosierdzie dał przytułek żebrakowi, choć wprzód powiedział mu był że mu płaci za dozór domu, stękał że go kosztuje ogromnie życie wystawne, które prowadzi jadając po garkuchniach, ubierając się zawsze czysto i starannie i t. p.

W ostatku prosił, żeby mu się nie dziwowano że zawsze w domu, dla nagniotków obuwia znieść nie mogąc, boso chodzić musi. Anusia za dobre to biorąc, słuchała, dziwiła się i nie szukając w nim wad których dojrzeć nie mogła, przyjęła go jakim był; ujmował ją grzecznością i ochoczą rozmową.

Od niego zaraz nazajutrz dowiedzieli się, że podczaszyc dom kupił i urządził na nowo, że żył bardzo po pańsku i że zapewne nie długo tak szumiąc pociągnąć potrafi.

Przeraziło Anusię to co o nim posłyszała i nie dziwił ją sen który miała, bo w istocie niebezpieczeństwo było widoczne.

Stary który wszystkie plotki po bruku zbierał, nie mając nic do czynienia, często na gawędę do Orlandiniego chadzał, i wałęsając się po mieście widział część życia każdego, nie szczędził Ordyńskiemu imion rozrzutnika, hulaki i karciarza.

Sieniński wzdychał słuchając, ruszał ramionami i powtarzał po cichu:

— Pójdzie mosanie Głusza! pójdzie Głusza! na damuzelki i asy! a! gdyby nasza stara pani z grobu wstała, drugi by raz umarła z bolesti, a wszystko to przez tych urwipolców francuzów!

— Ale by go może jak ratować można! przemówiła Anusia.

— A to jak? rzekł Jan, albo to do niego przystęp teraz łatwy, gdyby i przystąpić, czy się to da zreflektować?

Anna zamilkła myśląc że Bóg da sposób i nastarczy ratunku zręczność, zapamiętała jego mieszkanie, a w przyszłości obiecywała sobie poznać miasto ze stryjem i choć z daleka spoglądać na przyjaciela młodości.

Wszystkie jednak marzenia Anny rozbiły się o mnóstwo trudności, których się zrazu ani domyślała. Przekonała się, że po Warszawie z ładną twarzą samą jedną chodzić nie można, że do poddaszyca przystęp niepodobny, że go nawet zobaczyć trudno, bo przez ulicę przelatuje karetą, a w kościele nie bywa. Zbierała więc tylko wiadomości o nim przez stryja i ojca, a w kilka dni po przyjeździe posłała starego ażeby mu się zdajmył z przybyciem, nic o niej jednak nie wspominając. Sieniński przebrawszy się w wielkanocny kontusz, poszedł do swego panicza z rana; długo musiał czekać nim wstał, napokutował się w antykamerze, i ledwie o dziesiątej puszczonej został wraz z czekoladą. Podczaszyc żywo się do niego zerwał, bo mu przypomniał Głuszę, a może — może Anusię.

— Jak się masz stary? krzyknął — co ty tu robisz?

— A cóż JW. panie, znalazło się brata który ma posesyjkę przy Bednarskiej ulicy, to się do niego ściągnęło — bo w Głuszy po odjeździe państwa bardzo pusto.

— A córka?

— Córka? — przelknął stary nie chcąc kłamać i nie mogąc powiedzieć prawdy — zdrowa JW. panie, zdrowa... bardzo dziękuję.

Spojrzał mu w oczy Ordyński i nie śmiał pytać więcej.

— Cóż tu myślisz robić?

— A co? popatrzeć jeszcze na świat Boży póki oczy we łbie — pomodlić się, zresztą odpoczywać.

— Przychodź-że do mnie często mój Sieniński, przykażę żeby cię w każdej godzinie puszczano.

Stary *more antiquo* do stóp się skłonił, przyniesiono mu kielich gdańskiej wódki, piernika, łakoci, choć dla niego godzina już była zrazowa raczej i krupnikowa, bo wstał rano i czuł że *hora canonica* dawno wybiła w żołądku.

Podczaszyc wypytywał go się o wszystkich i wszystko, o dom, ludzi, a ubocznie i o Annę. Staremu nieprzywyktemu kłamać było to nie łatwo, plątał się język bardzo, tak, że podczaszyc nie mogąc dojść co się stało z Anusią, domyślił się że mu całej prawdy dla czegoś powiedzieć nie chce. Różne myśli przesuwały mu się po głowie, wąż zazdrości ścisnął serce — kilka dni chodził smętny — dumał, wzdychał, ale piękne oczy wojewodzinej spędziły te chmury z czoła.

Potem Sieniński z rzadka go widywał tylko, a choć pierścionek Anusin jeszcze mu ją przypominał, choć chwilami niepokoił się o nią, nie miał czasu wśród roztargnień tyłu, stalej, dłużej o niej pomyśleć.

Anna od przybycia wiodła życie prawie zakonne, z ojcem, stryjem i nie wielu jego znajomymi. Szczęściem w ich liczbie był znakomity swego czasu człowiek, ksiądz Spirydjon kapucyn, który z młodości będąc znajomy z Sienińskimi, czasem ich odwiedzał i chwilę spędzał z nimi.

Człowiek to był ze wszech miar poszanowania i czci godzien, jako kapłan i jako obywatel. Otaczała go wielka powaga, jaśniała do koła niego świętość i najbezbożniejsi nawet plamy na nim upatrzeć nie mogli. Schorzały, kaszlający, sił nie wielkich na pozór, duszą umiał to mizerne i umartwieniami zniszczone ciało podnieść, tak że więcej znosił osłabiony i wątły, niżeli najwytrwalsi jego towarzysze. Oprócz praktyk religijnych spełnianych najściślej, znoszonego głodu, chłodu, dyscyplin, włosienic, pracy spowiednika i kapelana więzień — jako poradnik dusz wielu bolejących, od rana do nocy wzywany, rozszarpywany, nie miał godziny spokoju. Często spoczywającego przed krucyfiksem w celi, doganiali i tu najznakomitsi ludzie owego czasu — w których jeszcze iskra wiary nie dogasła — by się go poradzić, by siły zaczerpnąć. Serce i rozum jego, rozplamiona i czynna wiara podniosła była do tak wysokiego stopnia, do jakiego ani geniusz, ani wychowanie nie są w stanie dźwignąć innych. Prostaczek wedle słów mędrca, więcej i jaśniej widział od pogańskich filozofów ówczesnego świata. Wejrzenie jego głębokie, obejmowało, rzecz można, samą treść żywota odrzucając jego lupinę i zdumionym często oczom pospolitych ludzi okazywało istotę samą, gdzie oni wśród zagmatwania, pozorów od rzeczy rozróżnić nie mogli.

Spokojnego umysłu, pogodnej twarzy bladej, zawsze uśmiechniony jakby w Boga patrzył, bo w dziełach Jego widział rękę wszędzie, ojciec Spirydjon nie był jednakże bez związku z wiekiem wśród którego żył i urosł. Nie pobrażał on mu, ale czuł że potrzeba zbliżyć się do chorego by go leczyć, nie unikał więc ludzi, łagodnie przystępował do zranionych, nie gromił i nie groził, ale pociągał dobrocią i światłem którego mu udzielało natchnienie.

Świętobliwego owego człowieka znała naówczas cała Warszawa jako opiekuna więźniów, jako dysponującego skazanymi, protektora ubogich, a massoni, illuminaci i filozofowie ówczesni poklaskiwali mu nawet, widząc go bez różnicy wspierającego i cieszącego katolików, żydów, protestantów, i wszelkich ludzi bez różnicy wiary i stanu.

Był to prawdziwie duchem Chrystusowym ożywiony kapłan, bo serce jego dawno rzuciło na progu celi wszelkie uczucie nienawistne, wszelki wstręt i gniew — zdawał się kochać świat wielką miłością w Bogu, a kochać go tak, że gromić nie umiał, że nic sercem jego inaczej jak litościwie wstrząsnąć nie mogło.

— Mój ojcie — mówił mu jeden dygnitarz koronny i dygnitarz łoży św. Jana, warszawskiego wschodu, żartując trochę — co się to wy szkarad, zbrodni i plugastwa nasłuchacie spowiadając tylu lotrów!?

— Zapewne — odparł z pokorą kapucyn — ale ja nie samych spowiadam delikwentów, i przyznam się panu dobrodziejowi, że mnie nigdy nie wstrząśnie tyle spowiedź zbrodniarza stojącego pod szubienicą, ile wyznanie szkarad od tych co chodzą wolno! więcej grzechu na ulicy niż za kratą!

Lud kochał księdza Spirydjona, lubili go i poważali panowie, choć jednym i drugim prawdę mówił. Nie mógł przejść kilka kroków, żeby go w ręce nie całowano i nie błogosławiono głośno, a byli tacy co zawczasu świętym go mieniąc, o cudach jego przebąkiwali. Podniosło jeszcze popularność jego jedno słowo litości, wyrzeczone w sprawie podskarbiego, z którego później ktoś piękny wziął assumpt do gorącego wiersza. Kościoły puste podówczas, na rzadkich jego kazaniach napchane bywały, bo mówił je po staropolsku, wprost od serca, nie bez dowcipu, a tak żywo, tak gorąco, że najobojętniejszymi wstrząsał.

Ksiądz Spirydjon wiek swój pojmował jasno, widział wszystkie jego wady, bolał nad niemi, ale miał nadzieję w miłosierdziu Bożem; gdy inni nad upadkiem wiary jęczeli, grożąc że po Wolterze nie powstanie chrześcijaństwo — on sobie z uśmiechem mówił:

— Nie bójcie się, zginie to plugastwo, wszystko przejdzie, a prawda świecić musi. Nie bójcie się o wiarę, lękajcie raczej o siebie.

Zresztą, co wiek ów dla ludzkości przynosił prawd nowych, mimo wiedzy jego, z łona wiary na którą bluźnił, dobytych, to nasz kapucyn przyjmował jako dar Boży, umiając rozróżnić w steku myśli niesforne splełanych, złote pasma idące z góry.

Że nietylko zbrodniarzy nawracał, ale i najzatwardziały grzeszników usiłował opamiętywać — często w tym celu odwiedzał takich którym słowo Boże z ust jego potrzebnem mu się zdawało. Za takiego właśnie w grzechu zakutego miał ks. Spirydjon pana Kaspra, a związany z nim będąc od młodu, próbował do ostatka uleczyć go z namiętności brzydkiej, w której z wiekiem brnął co raz głębiej. Często zaglądał do jego mizernej izdebki, często z nim posiedział, a po bytności jego stary ponuro się i smutnie zamyślał.

Zaraz po przyjeździe Anny w dni kilka, zjawił się kapucyn po południu w progu izdebki pana Kaspra, z wesołem:

— Niechże będzie pochwalony...

Obejrzawszy się potem:

— A co tu? u waści najazd jakiś? goście? czyś kogo przyjął w komorne?

— To brat mój Jan — rzekł Kasper całując księdza w rękę i usiłując zakryć boscie nogi, za które ksiądz Spirydjon nie raz lajał — kochanych, dobrodzieju, mam gości.

— I przyjmujesz ich po swojemu, bosaka! — zaśmiał się kapucyn — oj! niepoprawiona natura!

— To z powodu nagniotków, ojcie dobrodzieju.

— Ba! ba! znamy te nagniotki! każdy ma takie nagniotki panie Kasprze, przeszlą razą mi mówileś żeś uczynił votum, a teraz...

Kasper spuścił głowę.

— Wstydz bo się waść — dodał cicho staruszek śmiejąc się ciągle — czyż taki do końca nie wydobędziesz się ze szpon tej brzydkiej pasji?

— Cicho jegomościuniu! cicho! — zawołał Kasper przerażony — a nuż moi goście posłyszają, pomyśleć gotowi żem skąpiec a zatem bogaty...

Kapucyn się rozśmiał i usiadł spocząc na zydelku.

— No! to się waści chwali, żeś jak widzę brata przyjął!

— A cóż, musiałem ojcze, i nie mało mnie to kosztować będzie... zrujnują mnie trochę.

— Cicho, nie mów o koszcie i wydatku. A liczysz waść jak ci serce za to płaci! ha? Wstydz się panie Kasprze! a teraz prowadź mnie do Jana, trochę go znam.

Podniósł się staruszek i wyszedł z Kasprem, który szybko wdział buty, do wielkiej izby zajętej przez Jana i Anusię.

— Niech będzie pochwalony — powtórzył na progu — witam was dzieci moje! Stary przyjaciel Sienińskich; mości marszałku coś widzę poznać mię nie chcesz? A ojciec Spirydjon! widzisz. To musi być córka waszecina! Niechże ją Bóg błogosławi!

Anusia przyszła go pocałować w rękę.

— Dobrzeście zrobili żeście tu przyjechali, ot stary pan Kasper trochę odżyje. A cóż w Warszawie myślicie, bo się tu pewnie próżnowaniem bawić nie będziecie?

Stary wytłómaczył się księdzu, że jemu sił do pracy niestarczyło, a Anusi zajęcie się domem, kuchnią i gospodarstwem — wszystek czas zabierze.

— Każdy niech pracuje jak może, aby z Bogiem, wszystko dobrze, wszystko Bóg przyjmie. Bez krzywdy bliźniego, bez uszczerbku na duszy, w imie Pańskie aby dalej, aby bliżej do uroczystej godziny.

Anusia z rozkoszą słuchała starego kapucyna, którego pobożne słowa przypominały jej żywo starość, by były w tymże duchu, i płynęły z jednego źródła, z serca. Ucieszyła się ujrzawszy starca, bo przeczuwała że los opatrzny go zsyłał w pomoc bezsilnej. On też z zajęciem spojrział na dziewczkę, w której oczach i na jasnym czole czytał myśli chrześcijańskie i pobożnego ducha.

To spotkanie było dla Anny jakby pierwszym stopniem do dopięcia celu; marzyła już że przez rady ks. Spirydjona, przez tych których on znać musi, trafi jakoś do podczaszka i tę duszę już nad przepaścią stojącą, na inną zawróci drogę.

W kilka tygodni potem przyszedł znów ks. Spirydjon, a zastawszy spiącego pana Kaspra, przyszedł do Anusi, na ten raz samej. Skorzystało z tej chwili dziewczce i rzuciło się do nóg starcowi, przeląkł się nieco zrazu kapucyn, myśląc, że straszliwe jakie usłyszy wyznanie, bo i lży towarzyszyły niewinnej spowiedzi, ale ochłonął powoli, gdy Anna potrzebująca się zwierzyć komuś, wylała przed nim całą swoją duszę, opowiedziała mu życie, dzieciństwo, młodość, wychowanie, opiekę starościny, przywiązanie swe do Michała...

Wyznanie było jak spowiedź szczere i całkowite; nie utaiła nic, powiedziała nawet o snach w Głuszy, o myśli co ją tu przywiodła.

Starzec słuchał ją z rozczuleniem rzewnym.

— Dziecko moje — rzekł — obrachuj się czy cię tu krom nadziei ratunku, nie przywiodła, acz niewinna miłość ku niemu?

Anna spuściła oczy.

— Wiem że nie mogę i nie powinnam go kochać, odpowiedziała, ale nie mogąc być niczem dla niego, chcę przynajmniej ratować go w jednej chwili życia. Potem gotowam wstąpić do klasztoru.

Staruszek głową pokiwał.

— Zawsze pocziwe to myśli twoje — rzekł — ale jakąż ja ci dam radę? Słyszałem nieco o Ordyńskim, wpadł w wielki świat i należy do tych do których kapłan nie ma przystępu, bo od niego uciekają.

Proś Boga, modlitwa wiele może, a jeśli się zdarzy sposobność ratować go w jakim złym razie, jam ci gotów w pomoc. Sama nie rzucaj się na niebezpieczeństwo, byś nie upadła... Słabą jesteś. Upaść łatwo, dziecię moje, cóż dopiero w walce, w której ufna i pocziwa niewinność z jednej, a rozwiążłość obojętna z drugiej strony.

Pociechą jakąś i ufnością napełniło się serce Anny po zwierzeniu kapucynowi, który ją z uczuciem odchodząc pobłogosławił.

Nazajutrz zaraz trafem zobaczyła podczaszyca w kościele, dokąd przybył w ślad za piękną wojewodziną; skryta za konfesjonał przypatrywała mu się, a srogi ból cisnął serce. W oczach jej tak się odmienił! powiew miasta uniósł z sobą świeży rumieniec, pogodę oka młodego, ust wesele, czoła jasność — piękny był jeszcze, ale w nim czuła Anna jakby rozhukane zwierzę, jakby oszalałego i pijanego... Zmartwiła się widząc go w kościele obojętnym na Boga — śmiał się, chodził, stawał, przypatrywał, siadał, szeptał, był jak na widowisku i ani na chwilę, ni razu, nie podniosła się myśl jego i serce ku temu co świątynię napęlniał, niewidzialny dla niego.

Zapłakała ścigając go oczyma, podającego z uśmiechem rękę pięknej damie, z którą od pół kościoła szeptać poczęli do siebie nadto poufale.

## IX

Jakie tam myśli snuły się po chorej głowie podczaszyca, w chwili gdy okryty ciemnością wieczora i chmur, obłany deszczem i migoczącymi niekiedy na niebie błyskawicami, stał i czekał z krwią zimną na wydarcie życia człowiekowi? — nie wiem... Są to godziny, w których jak przed śmiercią całe życie zarysowuje się szybko na tle wyobraźni, w których się przeżywa na nowo całą swą minioną przeszłość, uczuwa co kiedyś czuło, przypomina, żałuje... serce bije, myśl się płacze, żal na przemian, bojaźń i znowu szal ogarnia.

Czas znika — wiek i minuta równemi się zdają, bo człowiek żyje w sobie, a świata zewnętrznego, tej skazówki godzin, nie widzi... Jedno uderzenie serca wydaje się wiecznością, drugie błysnięciem tylko, choć oba przeszły równo — ból tylko i uczucie je mierzą.

Nagle — przed oczyma podczaszyca, który stał dysząc nieprzytomny, ukazała się wysoka postać w piaskowym płaszczu... ręka zadrzała.

Błysnęło, poznał Rybińskiego o trzy kroki od siebie, starościc widać postrzegł go także, bo się chciał cofnąć, ale nim miał czas zawrócić, przyskoczył Ordyński, i przyłożywszy mu krucicę do piersi, wystrzelił. Starościc krzyknął, chwycić się chciał za mur rękami, posłonił i upadł.

W tej chwili jakby zasłona jakaś spadła z oczów podczaszyca — ostygł, ujrzał przed sobą trupa, ciekącą krew, załamał ręce i stanął skostniały. A tuż i lud gromadzić się począł i wrzawa powstawała do koła. Ordyński nie miał siły nawet uciekać. Uczuł tylko że go ktoś chwycił za rękę i zwawo cisnąc przez lud z nim uchodził, ale dokąd? kto? nie postrzegł.

W duszy wilo się, powtarzało, tętniło jedno tylko słowo:

— Zabiłem! zabiłem!

Śmiech nareszcie straszny, przez tę wrzawę myśli dobił się do jego uszu.

— Podczaszyco — rzekł przewodnik — dokąd się teraz udać myślisz? — Zabiłeś Rybińskiego, potrzeba uciekać — mów co mam z tobą zrobić?

Ordyński stał jak słup.

— A! co to za dziecko — zawołał cavaliere — poprowadzę cię do Frascatelli, może tam odzyskasz przytomność i pomyślisz co zrobić z sobą.

Przejeżdżający fiaker zabrał ich obu, a ruch powozu dopiero i ulewny deszcz ćwiczący w twarze, bijące pioruny, burza gwałtowna, trochę oprzytomniły podczaszyca. Zakrył oczy, począł płakać, Fotofero ramionami ruszał.

Zajechali na Miodową, w dziedziniec, usłużny przyjaciel wysadził Ordyńskiego, wwiódł na wschody, otworzył drzwi, wepchnął do mieszkania a sam zniknął.

Służąca postrzegłszy podczaszyca zbroczonego krwią, która na suknie jego wytrysła, krzyknęła, sądząc z niej i z bledzi twarży że był raniony. Na głos ten z drugiego pokoju wybiegła przerażona tancerka, spojrzała, domyśliła się wszystkiego i przybliżyła niespokojna. On ją z lekka odepchnął.

— Nie tykaj mnie, krew — krew, jestem zbójcą...

Nieprzytomnego prawie kobiety posadziły na krześle, spojrzał po sobie, zobaczył plamy czerwone — i omdlał.

Włoszka pocziwa zapominając o sobie i swej słabości, poczęła go ratować, uklękła cucić, a służę posłała po doktora Beklera. Napisała także karteczkę do jenerała, wzywając go pilno do siebie i z nią na zamek chłopakowi iść kazała. Na klęczkach tak przed nim patrzyła nań, drżąc z boleści, nie mogąc doczekać się otrzeźwienia, bo choć oczy otworzył,

zdawał się nieprzytomny — odpychał od siebie, miotał się, a słowa z ust wyrwały się bezładne.

Po godzinie blisko takiej męczarni, zaturkotało w dziedzińcu, generał wpadł do pokoju i rzuciwszy okiem na podczaszycę, za głowę się schwyił.

— Gdzieś go złapał? — zawołał.

Widok Bauchera zdawał się zabójcę ochładzać, spojrział mu w oczy.

— Na ulicy — odpowiedział z cicha.

— Strzeliłeś?

— Zabiłem go.

Stary pieczeniarski zmarszczył się gniewnie, niecierpliwie i ramionami ruszył.

— Ratuj-że się teraz sam, kiedyś dobrej rady nie słuchał — rzekł zimno — wiesz czym to pachnie, zabicie posła pod boki króla i sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską?

— Na Boga — przerwała Włoszka gwałtownie — tu nie czas grozić i wymówki robić, potrzeba go ratować.

— A co ja mu poradzę? — zawołał generał przechadzając się zakłopotany — umyвам ręce! umyвам ręce! jutro by mnie jeszcze do indagacji pociągnęli. Upadam do nóg... Jedna jest rada a krótka, wziąć pieniędzy jak najwięcej i nie powracać do domu, póki sprawa się nie rozgłosi, uciekać jak najdalej. Rybiński krewny blizki biskupa kujawskiego, człowieka możnego, który poruszy wszystkich, a krwi swej nie daruje... Niema co myśleć, potrzeba uciekać.

— Ale ja nie mam ani passu, ani pieniędzy.

— Ja ci też ani jednego ani drugiego dać się nie ofiaruję — odpowiedział generał biorąc się do drzwi, sam będąc na oku, a grosza, słowo honoru — grosza przy duszy nie mam. Rób co chcesz a uciekaj.

Frascatella gniewnie ruszyła ramionami.

— Otóż to przyjaciel — zawołała — to przyjaciel. — Jeśli innych nad tego nie miałeś podczaszycu, toś biedny, bardzo biedny!

Ordyński siedział w krześle zadumany głęboko, gdy mu jak błyskawicą mignęła myśl, że Sienińscy mają dworek na Bednarskiej ulicy, i że oni by go może poratowali, gdyby się do nich dostać można. Nie chciało mu się uciekać z Warszawy, żelazny łańcuch nałogu przykuwał go do miasta, czuł że gdzieindziej żyć by nie potrafił.

Ochłonawszy nieco poczynął roić, że sprawa ta da się zatrzeć, byle zwlec stawienie się przed sądem i nie dać pochwyć. Zdawało mu się, że go nawet w Warszawie szukać nie powinni, bo pomyślał iż musiał uciec już dalej.

Pożałował nawet, że starego swego sługi Sienińskiego nie odwiedził kiedy, teraz by mu się wiadomość o mieszkaniu ich przydać mogła. A że posyłać i dowiadywać się niebezpiecznym było, musiał nie spuszczać się na nikogo, sam iść i szukać dworku.

Wstał więc po chwili z krzesła, narzucił płaszcz i chciał odchodzić, gdy Frascatella przybiegła z drugiego pokoiku niosąc w chustce co mogła znaleźć, ostatki ubogiego mienia, klejnociki i trochę grosza, (w myśli przeznaczone już na pogrzeb) — które chętnie oddawała podczaszycowi!

— Weź pan to — rzekła czepiając się go uparcie, na pamięć matki klnę ci się panie, że więcej nie mam, a to mi zupełnie niepotrzebne.

— Dziękuję ci, dziękuję — odpowiedział Ordyński z trochę dumy — bądź spokojna, mam pieniądze.

— Dokąd myślisz?

— Szukać przyjaciela! — smutnie odpowiedział podczaszyc.

Zadrzała Włoszka i przeżegnała go — chciała zatrzymać i ukryć, ale podczaszyc sam przypomniał jej że tu go szukać mogli najłatwiej, wiedzą że bywał u niej. Wybiegł żywo ledwie skinąwszy głową rozplakanej dziewczynie.

Pierwszy to raz od przybycia swego do miasta puszczał się tak sam jeden nocą w ulice, bez ludzi, bez powozu, zmuszony kierować się i radzić sobie, postrzegł się że prawie nie znał miasta, że niemal chodzić nie umiał, że i suknią jego i nogi do salonu tylko stworzone były. Ale konieczność popędzała — i szedł nie wiedząc dobrze dokąd idzie.

Deszcz lał jak z wiadra, potoki toczyły się rynsztokami, z rynien spadały kaskady, a pioruny warczały jeszcze w oddaleniu.

Podczasyc po wielu obłędach, przesuając się pod ścianami, co chwila podejrzewając że go ścigają, na każdy krzyk drząc i przytulając się do muru, dostał się wreszcie na ulicę Bednarską, ale jak tu wynaleźć dworek Sienińskich? Zdawało mu się że lada słowo wydać go może, że poznają go po głosie i mowie, z postawy i sukni, nie śmiał nikogo spytać, najciemniejszymi przebierając się zakątkami. Wreszcie ulewa ciąga, ciemniejsza coraz noc, jakiś strach pozostania pod gołym niebem wśród snującego się ludu, zmuszając go szukać schronienia, wyrobiły w nim trochę odwagi — musiał się pytać kilku przechodniów, zbyli go niczem nie wiedząc o żadnym Sienińskich dworku; udał się do miejscowych i chodząc od wrót do wrót, doczekał nareszcie że mu wskazano niski domek, w którego jednym okienku gorzało blade światło. Tu do wrót trudno się znów było dostać, tak zawczasu zatarasował je pan Kasper z pomocnikiem swoim Hołodrygą, a że po nocy nie było praktyki by kto przyszedł, nie rychło usłyszał głosy dopytujące się czego chce.

Sam przeciw niemu wyleciał stary, niespokojny kogo tam licho niosło... i zdziwił się dowiedziawszy, że potrzebuje ktoś widzieć się pilno z panem Janem.

— Ale po co i czegoż po nocy, to i jutro przyjść można?

— Sprawa pilna, proszę otwierać, — proszę otwierać.

Jeszcze się wahał gospodarz obawiając złodziejów, aż podczasyc zawołał mu przez drzwi, że tu o życie ludzkie idzie i żartować nie można.

Kasper zatrwożył się mocno, a że o życie szło nie o pieniądze, odważył się odryglować i wpuścił przybyłego, który zataczając się ze znużenia i niewprawy do piechoty, wpadł do dworku jak szalony. Za nim w ślad leciał pan Kasper.

W większej izbie na krzeselku drzemał pan Jan, a Anusia spokojnie modliła się na książce którą miała po starościnej, gdy drzwi się otworzyły i blady, krwią zbryzgany, w wykwintnym stroju, ukazał się na progu jak zjawisko podczasyc.

Nie wiedząc o jej bytności w Warszawie, ujrawszy ją nagle, cofnął się, ona krzyknęła, tak niespodzianie go ujrawszy w tej porze. Sieniński przebudziwszy się oczy przecierał, nie mogąc zrazu zrozumieć gdzie jest i co się dzieje.

Anna jednak najprędzej odzyskała przytomność, i ze świecą podskoczyła przeciw niemu.

— Panie Michale! co to panu? zawołała.

— Co mi? rzekł opierając się o ścianę podczasyc — który nóg nie czuł pod sobą i był jak w gorączce — co mi? Zabilem człowieka! muszę się kryć! ratujcie mnie!

Sieniński ręce załamał, Kasper pobladł, Anna ujrawszy krew, cofnęła się przerażona.

— Zabójca, zabójca — on zabójca! może to być o Boże!

— Ale kogoż zabiłeś pan? co się stało? zapytał ciągnąc go za suknie gospodarz.

— Posła Rybińskiego.

— Gdzie? w Jeziornej, w pojedynku?

— Nie — tu na ulicy.

Bracia spojrzeli na siebie z przestrachem, a pan Kasper odstąpił krok od przybyłego.

— Jak się to stało? jak się to stać mogło? spytał łamiąc ręce stary Sieniński.

— Obraził mnie śmiertelnie, strzelać się nie chciał, musiałem krwią zmyć obelgę — nie mam się gdzie skryć, jeśli wy mnie nie przytulicie, schwyćą mnie na gorącym razie, sąd będzie ciężki — na Boga skryjcie mnie.

— To gospodarz domu — rzekł pan Jan, aleśmy wszyscy słudzy waszej rodziny i dla niej poświęcić się gotowi, niema co myśleć, znajdziesz pan przytułek u nas, ale czy będzie bezpieczny?

— Ubodzyśmy ludzie, dodał Kasper, dachu nie poskąpim, a zresztą spuszcza się na wspaniałomyślność pańską! I schylił się do kolan podczasyca.

— Dziękuję wam — a! dajcie mnie odetchnąć! biegłem pieszo! czuję się słabym!

Anna przyniosła mu krzesło, znużony padł na nie płaszcz spuszczając z ramion, głowa schyliła się mu na piersi, i pozostał tak, bez ruchu, bez słowa, głazem.

Dopiero w kilka godzin odzyskał krew zimniejszą, opamiętał się, rozmyślił i przywołał starego Jana Sienińskiego żeby go wysłać na zwiady, a razem po pieniądze i klejnoty które w domu zostawił.

— Bądź jednak baczny, dodał — żadnemu z ludzi nie mów gdzieś mnie widział, o zdradców nie trudno. W karteczce którą daję do Frejera, piszę, że jestem na gościńcu

i pojedą dalej jak tylko powrócisz. Być może że w ślad za tobą pójda, nie wracaj więc wprost do dworku, ale złóż co odbierzesz na Miodowej ulicy.

Dał mu adres do Frascatelli.

Pan Jan mimo spóźnionej pory, wywoławszy Hołodrygę, który kłął drzwi otwierając znowu, poszedł zaraz. — Kasper zasunął się do swej izdebki, rozmyślając czy mu ta awantura nie mogłaby przynieść jakiej korzyści, Anna została z nim sam na sam.

Ale on tak był w początku zajęty sobą i swem położeniem, że na nią i razu oczu nie zwrócił. Ona tymczasem w milczeniu smutnem przypatrywała się towarzyszowi lat dziecinnych, dziś tak dziwnie zmienionemu w krwią oblanego zabójcę. Strój wytworny który go okrywał, splamiony śladami morderstwa, był symbolem stanu jego duszy. Twarz nosiła ślady burzących namiętności, które nim wstrzęsły i przeistoczyły młodzieńca w zużytego prawie starca — ani śladu nie było już wesołości, uśmiechu, pogody dawnej, a dziś snuła się jeszcze zgryzota i strach po ścieżkach wydeptanych szalem i rozpustą.

— A! nie tak! nie tak! spodziewałam się go ujrzeć znowu, mówiła w duchu Anusia — o mój Boże! jeśli tam z góry pada nań wejrzenie starościny, jak-że ona cierpieć musi. Zapomniał wszystkiego, ledwie spojrzał na mnie, ledwie się zdziwił gdy mnie zobaczył! Biedny Michał!

Podczasyc podniósł po chwili oczy ku niej, spojrzał zadumany i twarz jej przypomniła mu chwile, po których żal odzywał się stokroć, a teraz silniej niż kiedy zabiło serce i tęsknem rozkołysało się uczuciem.

Pierwszy raz może silniej pożałował tego co utracił — niewinności duszy, czystej, pierwszej swej miłości i chwil w zaciszu wiejskiem spędzonych, gdy jeszcze umiał modlić się, wierzyć, spodziewać. Dziś używając tylko zużył się, czuł próżnię w sobie, a z tego żywota gwarne, rokosznego, nic mu nie pozostawało nad kilka gorzkich, zatrutych wspomnień. Ani jednego przyjaciela, ni jednego serca! Wszystkie dłonie cofnęły się, wszystkie drzwi zamknęły. Żywiej przypomniło się życie w Głuszy, głos starej babki zdawał go się napominać i wyrzucać mu, że o Bogu zapomniał, że zapomniał o jej duszy... Uczuł w tej chwili że na piersiach jego wisiał razem z krzyżykiem babki, skromny ubogi pierścionek Anusi, który trafem jakimś tak długo z nim pozostał; zdawało mu się, że się przebudza z długiego snu przykrego.

— A! rzekł wreszcie — jakże wam dziękuję żeście mnie nie odepchnęli.

— Mógłżeś pan to pomyśleć i wątpić o nas? z trochę wymówki spytała Anna.

— Ja? wątpię teraz o wszystkim i o wszystkich...

— O kim pan chcesz, ale nie o nas, ale nie o mnie! dodała ciszej.

— Ale zkądże ty tu się wzięła Anno? — zapytał namyślając się — zdaje mi się, że ojciec dawał mi do zrozumienia że cię na wsi zostawił.

— Nie było potrzeby mówić panu o mnie! — odpowiedziała Anusia z westchnieniem — co ja mogłam pana obchodzić? Miałeś pan tu tyle nowych i milszych ci znajomych!

Michał gorzko się uśmiechnął.

— Gardzę niemi wszystkimi — rzekł — milsze mi dziś spojrzenie na pogodne czoło twoje Anusiu, niż wszystkich tych zalotnic uśmiechy!

O! ty nie znasz tego świata złożonego z atlasów i podłości! I dobrze ci z tem... I wojewodzina! — dodał bijąc się w czoło — i ona!!

— Kto ona? — spytała Anna niespokojnie.

— Nikt! nikt! nie pytaj! nie chcę uszu twoich walać opowiadaniem — muszę zapomnieć ich wszystkich, powrócę do Głuszy, żyć będę sam, nie cierpię tego świata!

— Taka zmiana od ranka? — cicho szepnęła dziewczyna — ja jej nie wierzę panie Michale, gniew mściwy mówi przez ciebie; byle by ci się uśmiechnęli, powrócisz do nich.

— Nigdy!

Wtem zapukano do bramy.

— To musi być mój ojciec — zawołała Anna — potrzeba mu biedz otworzyć.

Hołodryga też śpiący tylko jednym okiem, wypadł z budy, klnąc niezrozumiale, nie mogąc pojąć co się dziś w spokojnym domku stało, i pytając — kto tam? kto tam?

— Wywołajcie mi do wrót tego pana, który tu nie dawno przyszedł! — odezwał się głos jakiś.

Ale Hołodryga lajał i kłął nie myśląc słuchać, gdy Anna przypadła do furki.



— Niema tu żadnego pana — odpowiedziała poznając po głosie obcego — dajcie nam pokój!

— Czyj to dworek, Sienińskich, a więc musi być u was Ordyński.

— Nie wiemy o żadnym, obcych tu nie ma, idźcie z Bogiem, snu nam nie przerywając.

— Proszę mi podczaszyca wywołać — powtórzył głos — to nie są żarty, ja się z nim widzieć muszę, powiedźcie mu, że przyszedł do niego ten, który go prowadził na Nowolipie...

Chociaż głos nieznanego bardzo przykro brzmiał w uszach Anny, poszła jednak z poselstwem do podczaszyca, który domyśliwszy się cavaliera, pobiegł do wrót.

W istocie był to Fotofero, który otworzoną wcisnąwszy się furtką, stanął przed nim z dość pochmurzoną twarzą.

— Jakżeś się dowiedział że tu jestem? — zapytał Ordyński.

— Jak? ja wiem wszystko — odpowiedział zimno przyjaciel — i źle że pan tu jesteś! — rzekł prawie z gniewem.

— Dla czego?

— To nic nie warte schronienie, ulica zbyt bliska miasta, ktokolwiek w oknie cię zobaczyć może, dowiedzą się, wyspiegują. Nie chcę żebyś tu pozostał.

— Dla czegoż? — odparł podczaszyc trochę urażony tonem rozkazującym — to ostatni mój przytułek, innego nie mam i mieć nie mogę.

— Ja jutro, nie dalej, wynajdę panu ustronne, pewne i wygodniejsze mieszkanie. — Tu źle, źle, różni bywają! tu pan pozostać nie możesz!

Mówiąc to, stuknął nogą i laseczką cavaliere z widocznym nieukontentowaniem, podczaszyc się wahał i rozmyślał.

— O tem potem — rzekł — co się dzieje w mieście?

— Nic nie wiem! nie byłem nigdzie, idę szukać mieszkania, bo nie pozwolę byś pan tu miał zostać.

— Ale dla czegoż? — zniecierpliwiony odezwał się Ordyński — ja się tu czuję bezpiecznym.

— Mam moje przyczyny, z których tłómaczyć się nie mogę.

— A ja przyczyny dla których chcę pozostać.

— Może Anusię! — rzekł szydersko Fotofero.

— Bez żartów! — z gniewem odpowiedział podczaszyc — bez żartów, proszę tem imieniem, które nie wiem jak się do pańskich ust dostało, nie szastać.

Cavaliere zdjął kapelusz z udaniem uszanowaniem, i odpowiedział:

— *Honneur aux dames!* a zatem spytał po przestanku — mam szukać mu mieszkania, wynosisz się pan czy nie?

— Nie widzę potrzeby, tymczasem wszystko co zwraca oczy na ten dworek i pańska tu bytność, naraża mnie. Dobra noc, rozejdźmy się.

— Do jutra — rzekł kwaśno Fotofero — ale potrzeba się wynieść! Musisz pan wynosić się ztąd! — To mówiąc, wybiegł zatrząskując furtę za sobą, z ogromnym łoskotem zapadającą za nim, jakby nią olbrzymia cisnęła ręka.

Hołodryga na ten stukot wyleciał z gniewem, krzykiem i kijem, ale już nikogo nie znalazł i palnął ze złości we drzwi zamknięte.

Podczaszyc wielkimi krokami przechodził się po izbie poglądając na Anusię.

— Bywa u was kto? — zapytał.

— U nas tak jak nikt.

— Ale przecież macie znajomych?

— Kilku mieszczan i kupców do pana Kaspra przychodzą.

— A z kobiet?

— Nikogo.

— Będę tu bezpiecznym?

— Nie wiem gdzie lepiej ukryć by się można — żywo zawołała Anusia — jest pokoik na boku, a o zamieszkującym go żywa dusza prócz nas wiedzieć nie będzie. Wprawdzie nie tak tu wygodnie jak w Gluszy — i smutno! trochę czuć więzienie, a wzrok kraty rozcinają, ale cicho i bezpiecznie.

Znowu zastukano do drzwi, a w chwilę potem wszedł smutny i zamyślony stary Sieniński. Z twarzy już jego widać było że złe przynosił wiadomości, otarł pot z czoła zmarszczonego.

— Co mi przynosisz? — zapytał podczaszyc — nadewszystko proszę nic nie ukrywaj przedemną. Co mówią? czy Rybiński żyje?

— Żył jeszcze przed chwilą, ale doktorowie mu żadnej ocalenia nie robili nadziei.

— Czy szukają mnie już w mieście?

— Dom był ostawiony ludźmi marszałkowskimi, trzęsiono go już. Straż była także w kilku innych domach i na Miodowej u tej... — dodał starzec krztusząc się — u tej... jejmościanki.

Anusia spojrzała na ojca i zbladła.

— A w mieście? co mówią w mieście?

— Mówią powszechnie żeś pan ujechał, ale kazano ścigać, Rybińscy naznaczyli podobno za schwytanie jakąś nagrodę — król już o wszystkim wie, biskup z płaczem zaraz do niego poleciał, domagając się surowego ukarania. Obiecano mu że morderca oddany będzie w ręce sprawiedliwości...

— Nikt cię o mnie nie pytał? a w domu? co się dzieje w domu?

— W domu! — ruszając ramionami rzekł stary — sądny dzień, Frejer klnie i głowę traci, wierzyciele oblegają, słudzy się porozbiegali, każdy coś pochwycawszy, ledwie resztki ocaliłem z komody do której mi pan klucz dałeś, i tego mało mi z rąk nie wydarto.

— Jenerał Baucher tam nie był?

— Nikogo prócz kupców.

— Byłeś na Miodowej?

— A! na Miodowej — byłem, tam zostawiłem wedle rozkazu co się uratować dało... ale to trzeba będzie rychło zabrać ztamtąd, bo ta panienka tylko co nie widać jak umrze. Doktorowie tam koło niej tańczą, i księdza już wołano.

Podczaszyc westchnął, Anna zabolala nad tą nieznaną umierającą.

— Albo jej nigdy nie kochał — rzekła w duchu — lub nigdy serca nie miał, ona teraz kona, a on tu się kryje. O! to by było niegodnie! Wolę myśleć, że jej nie kochał, bo bym się nim brzydzić musiała, ale jakież to były ich stosunki?

Na tym skończyła się rozmowa ze starym Sienińskim, a że późno już było w noc, a wszyscy czuli potrzebę spoczynku, Anna wzięła się rozporządzać, sama z ojcem przenosząc się do alkierzyka, a podczaszycowi po rozmyśle zostawując równie bezpieczną i wygodniejszą wielką izbę.

Podczaszyc ujrzał się w kilka minut sam jeden w posepnym mieszkaniu, za kratą, u mizernego łoża, przy nagiej ścianie; zamiast obrazów rozkoszy i sprzętów zbytkowych, czarny tylko krucyfiks mając przed sobą... Na stoliku dogorywało światło, w izbie dusiło go powietrze ciężkie, a po głowie cięższe jeszcze snuły się myśli... na sukni, w oczach, miał ciągle przyschłą krew, krew człowieka!

Oka też nie zmrużywszy Ordyński rzucił się na krzesło, i tak w dumach i żalach całą noc przepokutował, to chodząc, to bezsilny spoczywając.

Blady brzask dnia wschodzącego, który powitały dzwony, przekradł się nareszcie przez kraty, dźwięk ten zdawał mu się już pogrzebowym biciem na zgon Rybińskiego.

## X

Następnego dnia, Jan Sieniński wyszedł zawczasu na zwiady, bo niespokojny podczaszyc prosił go na wszystko by mu pewniejszą dał wiadomość o Rybińskim.

Starzec znalazł już na rogach ulic poprzylepiane paszkwile nocne, w których zbryzgane krwią i błotem, wałało się pocziwe imię Ordyńskich. Ze zgrozą, ze smutkiem zdarł z nich parę i westchnął płacząco nad losem co podawał w pośmiewisko ostatniego potomka rodu zasłużonego i czystego dotąd... Ale z wierszy tych dowiedział się także Sieniński że Rybiński żyć jeszcze musiał, śmiertelnie tylko będąc postrzelony. Między mieszczany i przekupniami chodziły dziwne i jak zwykle przesadzone wieści, z których nic złożyć nie było podobna. Stary wedle zlecenia podczaszycy poszedł pod Krakowską bramę do Orlandiniego z pełną tabakierą umyślnie kupionej na to rapy, aby się od niego coś pewniejszego dopytać.

Żebrak już był na swoim stanowisku, wypił świeżo kawę, ręce na żołądku skrzyżował i w błogosławnym spoczynku z góry poglądał na mijające go mrowie ludu. Wygodnie ułożywszy nogi na słomiance, parasol przygotował z boku na wypadek deszczu, siedział sobie Orlandini jak pan ulicy, wygrzewając się na wiosennym słoneczku.

Pan Jan wiedział już z kim miał do czynienia, znał że cudzoziemiec choć próżniak i żebraczysko a dumny, schylił przed nim czapki i wszedł w rozmowę rapą.

Orlandini pogardliwie rękę wyciągnął i raczył zażyć.

— Dobra tabaka! — rzekł — a dajcie no jeszcze raz!

— Proszę, proszę — odpowiedział Sieniński.

— Piękny dzionek!

— Ślicznie po wczorajszej burzy.

— Spodziewam się, że król powinienby wyjechać do miasta, nieźle by było, rzadko teraz się ruszy, z powodu sejmu... a jeszcze no tej rapy.

Sieniński stał z tabakierką otwartą.

— Słyszał pan co o zabójstwie posła Rybińskiego? — spytał nieznacznie.

— Nie zabity! nie zabity! — rzekł Orlandini z pewnością — widziałem się wczoraj z dworzaninem księcia biskupa kujawskiego, ranny ciężko w piersi z lewej strony, ale mówią że wyżyć może. Zabójcy słyszę surowo poszukiwać nakazano, ale myślę, że do tej pory uciec musiał... Ale ba! nie chciałbym mieć jego głowy na karku!

— To paniątko! znajdzie się kto co się za nim ujmie i nic mu się nie stanie.

— Wszelako, wszelako — rzekł Orlandini, zażywając ciągle — choć mówią, że i król go protegował, bo się podobno w matce jego kochał, zbyt ni szal młodzieży chce poskromić i dać przykład. Pod bokiem sejmu — a to poseł!

— Nie znaliście podczaszyca? — spytał Sieniński.

— I owszem! chłopiec się był utresował u nas, niczego! Słyszę, kobiety za nim szalały, ale pod koniec źle o nim mówiono, szulerował, brzydka rzecz...

Pan Jan aż zbladł, tabakierka zatrzęsała mu się w ręku. Orlandini popatrzał mu w oczy.

— A co waści? — spytał.

— To tak, drzączka.

— Szkoda by rozsypać tabaki... dajcie no mi jej trochę do mojej tabakierki, wcale dobra!

— Chętnie, chętnie, ale byka za indyka, gdybyście też mi zrobili jedną łaskę, która was nic kosztować nie będzie?

— O ho! a co to waści potrzeba — dumnie zagadł Orlandini — widzę, że nie bez interesu przyszła ta rapa do mnie.

— To bagatel.

— Chcesz mnie widzę przekupić! no! no! gadaj.

— Będziecie dziś pewnie widzieli jenerała Bauchera, gdybyście oddali mu ten bilecik.

Orlandini pocmokał, popatrzał...

— Jaki waszec mądry! — rzekł — za rapę! A ba! oddają się to bileciki, ale nie za niuch tabaki. Ja muszę żyć, i dobrze zjeść i dobrze się napić, mnie życie kosztuje, a kto się mną posługuje, niechże karmi!

— Cóż by to kosztowało? — spytał się pan Jan biorąc się do sakwy.

— Co? to jak od kogo, — rzekł żebrak. — A od kogo list? mów waść!

— Od jednego z przyjaciół jenerała.

— Ba! ba! z przyjaciół! ma on i przyjaciółki! Daj waćpan tę rapę do tabakierki, to od podczaszyca pewnie! Dodasz jeszcze talara; wiem, że dukat by się należał, ale teraz musi być goły.

Sieniński westchnął, wyszukał najgładszego talarka i wcisnął go z biletem w rękę żebraka. Orlandini obojętnie wziął pieniądz, w szeroką kieszeń zielonej zbrukanej kamizoli wrzucił, bilecik w drugę, wysypał rapę do dna, założył znów ręce na brzuchu i kiwnął głową Sienińskiemu, jakby mu mówił:

— Bywajże asan zdrów, więcej już rozmawiać nie myślę.

Sieniński pociągnął potem na Miodową do Frascatelli, u której wczoraj zostawił pieniądze i klejnoty podczaszyca. Zastał tu od wczora siedzącego doktora Beklera, a chorą ledwie z życia ostatkiem.

Przezdrzwi słyhać było wśród ciszy ciężki oddech jej piersi i głos słaby, którym zegnała przytomnych.

Nie wiele ich tam było teraz: pocziwy lekarz, dwie kobiety, służąca, nikogo z dawnych czcicieli. Ujrawszy starego, Włoszka podniosła się jeszcze, oddała mu klucz wskazując szufladę kantorka, i szepnęła rozczulona.

— Pożegnaj pan go odemnie, wątpię żebyśmy się już zobaczyli na tym świecie. — Łzy potoczyły się jej z oczu a doktor milczenie nakazał.

— Do czego to? — spytała nieposłuszna — czyż i tak umrzeć nie trzeba... ja to czuję, że nie wyżyję. Naprózno doktorze trzęsiesz głową... Matka tam na mnie czeka, a was i świata nie żałuję! tak mi tu było ciężko w wieńcach róż na skroni i w czczych oklaskach jak w kajdanach, jak w przeklęstwie. Może choć z góry zobaczę jasne niebo Italji i sine morze nasze i rozkwitłe pomarańcze i laury, a dojdzie mnie śpiew rybacy z nad wybrzeży...

Zamknęła oczy, zdawała się marzyć, tak, że stary Sieniński, który długo mimowoli wpatrywał się w śliczną jej, jak marmur bladą twarzyczkę, niepostrzeżony na palcach się wymknął ze zwilżoną powieką.

— A! mój Boże! mój Boże! — rzekł do siebie wyrrywając się na miasto — jakie to ich tutejsze życie! Człowiek głowę traci! wrzawa, pisk, jęk, ten umiera, ten się kocha, ów szaleje i zabija. Ani chwili spoczynku, żebyś jak chciał się zdrzemnąć! Sfikсовать tu trzeba! nie lepiej żeby na wsi siedzieć i po prostu Pana Boga chwalić?

Powolnym krokiem posuwał się dalej pan Jan dla sprawdzenia wieści o Rybińskim, ku ulicy na której było jego mieszkanie; zdala już łatwo dom rozpoznał, bo przed nim stało karet kilka i ludzi dosyć. Powoli idąc zaczepił to tego to owego, udając prostego ciekawca, choć dosyć niezręcznie, bo co chwila wzdychał. Nareszcie dwie żywo ugadujące się kumoszki we wrotach kamienicy, wprost na przeciw domu Rybińskich, uczyniły mu nadzieję, że się czegoś dowie.

Zdala już słyhać je było mielące szybko językami, zastanowił się przy nich z ukłonem — dzień dobry.

Spójrzały nań z ukosa.

— A cóż słyhać? — spytał — czy taki umarł?

— Ale nie! — odpowiedziała jedna.

— Nie, nie — dodała druga, prześcigając się w opowiadaniu — doktory tylko słyseż rozcięli mu het piersi, kulę wyjęli, a że była w samym sercu, potrzeba było i serce zaszywać czerwonym jedwabiem.

— I cóż, będzie żył? — spytał pan Jan.

— Słyseż będzie, ale serca to nie wiele mu się zostanie, ono kawaleczek.

— Osobliwość — dodała druga — a to dawniej powszechnie gadali, że byle człowieka choćby szpilką zakłuć w serce, musi skończyć, a tu teraz tacy doktorowie że i do serca się dobiorą, i zaszyją, i nic.

— To przez to — zaczęła pierwsza po cichu — że choć synowiec czy coś biskupa, ale taki był słyseż farmazon, a farmazon choć siecz, choć pal, nic mu nie będzie... Był taki farmazon, i widzieli nawet że chodził do ich tego Łoża... Gdyby tak pocziwemu katolikowi, nie daliby rady, ale oni mają swoje sposoby!

Druga tylko ruszyła ramionami.

— A wszystko to poszło przez miłość — dodała — oba się w jednej pokochali; z tym co do niego strzelił, w jakiejś farmazonce, a ta słyseż obu durzyła, aż z wielkiej zazdrości tamten mu śmierć chciał zrobić. Co to słyseż była za kula!

— Mówią — przerwała pierwsza znowu — że się to pokłóciło przy kartach.

— Tak, ale to bez miłość poszło — kończyła druga — najpewniejsza rzecz... nawet słyseż ta farmazonka z desperacji po Rybińskim mało nie szaleje, choć ma męża, ale to u tych pań mąż to jak trzynózek, na to jest, żeby na nim postawić kochanka.

Dłużej już nie mając się tu czego zabawiać i będąc pewien, że Rybiński żyje, pan Jan ruszył na powrót ku dworkowi.

## XI

Późną nocą generał Baucher, któremu się mimo bileciku naglącego podczaszyca, bardzo nie chciało widzieć z tak podejrzanym, a do tego gołym w tej chwili jegomością, uznał jednak koniecznym odbyć tę pańszczyznę i znalazłszy Kaspra Sienińskiego u Krakowskiej bramy, czekającego, by mu wskazać dworek, poszedł z nim pieszo.

Wielki to był ze strony jego dowód przyjaźni, i stary pieczeniarsz głęboko rozmyślał nad tem w jak dziwnych okolicznościach stał się go pierwszy raz w życiu, zmuszając do odwiedzania dwóch ludzi zgubionych, księcia podskarbiego i podczaszyca.

Do tamtego dawne obowiązki przyjaźni, a czasem i król tajemnie posyłał, tu trzeba się było choć raz pokazać, żeby nie mieć sobie do wyrzucenia zbytku obojętności.

— Każda rzecz jednak — mówił do siebie idąc — ma swoją złą stronę! kto by się domyślał że ten podczaszyca, co tak się zdawał łagodny jak baranek, za te wieczorki i obiady w takie mnie teraz wpędzi tarapaty. — Głupie życie! głupie życie! Ale bo i nadto doprawdy się poświęcam! Taki byłem całe życie wylany dla drugich! — I westchnął Baucher litując się nad sobą.

Jakkolwiek spodziewany, generał zszedł podczaszyca z Anusią, i zobaczył ją nim potrafiła umknąć.

— Patrzajcie — rzekł w duchu — ślicznie pokutuje, szczer w serze! zazdrośnik, nigdy mi ani wspomniał o tym buziaczku, a to być musi dawna jego sekretna faworytka! jaki filut!

Z miną politowania pełną, ale dosyć kwaśną, generał przystąpił do dawnego swego pupila.

— Na Boga, co słyhać? co król mówi? — zapytał na wstępie podczaszyca.

— Król? — rzekł generał wolno — musisz już wiedzieć, że ksiądz biskup chciałby waszmości ćwiertować gdyby mógł, i gotów dowodzić że to gorzej niż zabójstwo, świętokradztwo tknąć księżego synowca. Chodził do króla z lamentem, król się gniewał, ale któż nie zna złotego serca? Mówił mi wieczorem wyraźnie, żebyś się skrył, a co lepiej uciekł, bo z sądami marszałkowskimi nie żarty.

— A w mieście?

— Szczerze ci powiem, interpretacje są różne i nieciekawe. Ten Cerulli ucieczką swoją całkiem sprawę popsuł, ludzie androny plotą.

— Domy mi pozamykali!

— Ale wiem — spuszczać głowę rzekł generał — to ze strachu, żebyś gdzie spotkawszy Rybińskiego awantury nie zrobił.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny.

— Nie byłeś u wojewodziny?

— Owszem, w rozpachy biedaczka.

— Jakto! czego?

— A, po Rybińskim!

Podczaszyca ręce załamał.

— Po nim? jak to? zkał-że się to wzięło?

— Z waści widzę wielkie jeszcze niewiniątka! — śmiejąc się odpowiedział Baucher. — Nie domyślałeś się nawet co się pokazało, oto, że pozornie cię na sznureczku trzyma, aby tem pokryć ściślejsze stosunki z Rybińskim; od czasu jakiegoś go postrzelił, zachorowała, w rozpachy, ręce łamie, zachodzi się, płacze. Mąż nie wie o co idzie, złożyli to na spazmy, siedzi przy niej, wzdycha, a lży mu grochem płyną, trzech doktorów nieodstępnie.

— To być nie może!

— Ale tak jest, darmoby nie wierzyć.

— Wojewodzina! ona nim gardziła, ona się śmiała ze mną z jego głupstwa!

— Głupi być mógł, ale to inny interes! przystojny chłopiec! Tak jest! podczaszyca — tak jest!

— A inne panie nasze?

— Teraz kto żyw za Rybińskim bo ranny.

Podczaszyca z gniewem zaciął usta.

— Nikt nawet nie spytał o mnie?

— Jedna starościna i to po cichu — ale tej teraz nowy amant pilnuje djabelnie, a o Frascatelli wiesz przecie?

— Chora?

— Umarła dzisiaj — rzekł Baucher spokojnie — i lepiej zrobiła — dobre to było stworzenie, ale nie na swoim miejscu, jej trzeba było pójść do klasztoru, nie do teatru.

— Biedne dziecko — odezwał się podczaszyc ze smutnem uczuciem — zapewne lepiej że skończyła życie, które dla niej było nieznośną męczarnią.

— A zatem — począł gość któremu już pilno się było wymknąć, chwytając za kapelusz — a zatem potrzeba cię pożegnać podczaszycu; siedź cicho, nigdzie się nie pokazuj, my puścimy fusa żeś do Niemiec uciekł — potem się to utrże.

I jenerał nakładał co najprędzej rękawiczki, pragnąc się wyrwać, bo mu i lokal i suche przyjęcie nie smakowały wcale.

— Chwilę jeszcze, panie jenerale, czegoż się tak spieszysz?

— Do zamku, muszę do zamku! jeśli mi masz co do polecenia...

Podczaszyc szukał w głowie, ale nic nie znalazł.

— Nie zapominaj o mnie przed królem — odezwał się — a radź co mam począć jeśli Rybiński wyzdrowieje.

— Trzeba się będzie z nim strzelać.

— A gdyby znów nie wyszedł! Jak się oczyścić.

— Najgorzej się oczyszczać — obojętnie rzekł jenerał — nim się on wylize ludzie zapomną, wrócisz, pojedziemy sobie dalej po staremu i kwita. Byle ten przeklęty sejm, który myśli z gruntu wszystko przerabiać, pokoju nam nie zamącił.

— Co się dzieje z podskarbm?

— A cóż! sądzą go i odsądzą od wszystkiego.

— A hetman?

— Hetman go sądzi, robi co może mimo wrzasku... pokoju nie mając na chwilę. Król między młotem a kowadłem. Mijają złote czasy, którycheśmy używali, głowa pęka od zajęcia i strachu. Dziś wielki wieczór u posła, chybić nie można, śpieszyć muszę.

Zerwał się znowu.

— Wcześniej jeszcze jenerale, chwilę, chwilę, pociesz mnie trochę.

— Przyznam ci się podczaszycu, że dalipan zamiast cię pocieszyć, jeszczebym sam tu gotów się rozstękać, tak u ciebie na więzienie zakrawa. Ja jestem sybaryta, gdy mnie nie otacza zbytek i dostatek, tracę siłę... na nic się nie zdałem. Bądź zdrów, a na ucho dodał: Widzę że i tuś sobie obmyślił lekarstwo od nudów, najrzałem ładną twarzyczkę. Dobrze pomyślano; zawsze to dystrakcja.

Podczaszyc się zarumienił i prawie rozgniewał.

— To tak jak siostra moja — zawołał porywczo — wychowana ze mną i święte dla mnie dziecię.

— Och! och! zazdrośnik — rozśmiał się stary — zazdrośny! wstydz się! dalipan za-wcześniej, jeszcze przecie nie łysy — dobra noc.

I wyniósł się co prędzej, obiecując sobie że nie rychło drugi raz odwiedzi podczaszycą.

Pozostawszy sam z sobą Ordyński, zatopił się w myślach smutnych, przebiegając całe życie swoje i rozpatrując się nad tem, do czego ono go doprowadziło. — Szczęściem jeszcze choroba Rybińskiego czyniła niejaką nadzieję wyjścia z tego fałszywego położenia, jeżeliby ocalał.

Byłby tak dumał długo, gdyby nie poczuł, że ktoś cichaczem się wsunąwszy tuż przy nim stanął. Był to cavaliere, którego Anna przez wpół otwarte drzwi najrzawszy krzyknęła, gdyż twarz ta przypominała jej także straszne widziadło na obrazie św. Michała.

— Kto tam jest obok? — spytał Fotofero.

— To moja przybrana siostra, współwychowanka, córka naszego sługi... Ale jakżeś to wszedł i co mi przynosisz?

— Że Rybiński żyje — źleś pan mierzył. — Ale może dobrze się stało. Kwatera kawalerska wcale porządna najęta w ustronnym kątku, wesola, czysta, wygodna, czeka na pana, co najprędzej wynosić się potrzeba.

Rzekł to tak żywo i nagląco jakby miał w tem jakiś interes, żeby podczaszyc wyniósł się ztąd co najrychlej — uderzyło to młodego człowieka.

— Ale powiedz pan proszę — spytał — dla czego chcesz mnie zmusić opuścić ten kąt spokojny, w którym mnie dobrze i bezpiecznie?

— Ani dobrze, ani bezpiecznie — odpowiedział szybko cavaliere. — Nie rozumiem, żeby człowiek dobrowolnie się zamykał w stęchliźnie, ciemności, wilgoci, gdy może mieć co lepszego. Bezpiecznie tu też nie jest, wiem że cię tu już generał odwiedził, zbyt blisko zamku, zwróci to oczy, może ktoś wydać. A zatem ubieraj się i chodź.

Podczaszyc, jakkolwiek mu to nie było wygodnie, wolał jednak pozostać, i nie rad był że go tu wyszpiegował naprzykrzony przyjaciel. Zbliżenie się do Anny niespodziewane, było dla niego wielką pociechą, odświeżało go, rzeźwiło, przenosiło w czasy które zaczynał nazywać lepszymi. Wprawdzie nałóg zbytku, wygody, zabawy, z której także pasją sobie zrobić łatwo, bo są ludzie co bez szumu i hałasu wyżyć nie mogą — ciągnęły go za Fotoferem, ale jakieś silniejsze niewytłumaczone uczucie wiązało do lichego domku.

— Ja nie mogę się ztąd oddalić! — rzekł po rozmyśle stanowczo.

— Dla czego?

— Nie chcę się tłumaczyć.

— Chybabyś pan chciał zerwać całkiem stosunki z przyjacielem i obrazić go śmiertelnie? — rzekł cavaliere z przekąsem.

Podczaszyc spojrział nań z góry, twarz ta znowu wydała mu się straszliwie poczwarną.

— Wybacz pan — rzekł dumnie trochę z pańskim ukłonem — ale ja woli mojej za żadną przyjaźń nie sprzedam.

— A zatem zostań pan tu — zawołał gość — zostań, ale jeśli cię tu odkryją i złapią, ja umywam ręce.

Ordyński zastanowił się i zadrzał — co tu było począć?

— Do jutra — rzekł.

— Jutro być może za późno.

— Kilka godzin mi daj do rozmyśłu.

— Ja i za godzinę nie ręczę.

Podczaszyc potarł czoło, obejrzał się, jakby rady szukał w otaczającym — gdy właśnie zapukano do bramy, chód w sieni dał się słyszeć, a nim drzwi otworzono, cavaliere niepożegnawszy się nawet, wyleciał piorunem i zniknął.

Tuż prawie wszedł z jednej strony ksiądz Spirydjon, z drugiej Anna. Stare, poważne i piękne oblicze księdza, dziwnie świętem i pogodnym wydało się podczaszycowi po tej poczwarze, która jakby z przestרחu przed chwilą pierzchnęła.

Powitawszy po bożemu; ksiądz wpatrzył się z litością w młodego człowieka i przywitał go powtórnie ściśnięciem ręki; podczaszyc uczuł się jakoś przejęty, upokorzony pod spojrzeniem jego, jakby stał przed najwyższym sędzią.

— Nie obawiaj się pan przybycia nieznajomego — rzekł kapucyn — jestem stary tego domu przyjaciel, o panu wiem wszystko, a nawet taić nie będę, żem tu dla niego przybył. Cóż to za utrapienie przedemną wyleciał?

— To... dawny mój znajomy — wyjąknął podczaszyc — Włoch pewien.

— Jakiś *diabolus incarnatus* — rzekł staruszek — szusnął koło mnie jakby co złego... gdybym z natury nie był odważny, mógł był mi napędzić strachu.

— Darujesz mi pan, przerwała Anna z uśmiechem przystępując do Michała, żem ja tu ojca Spirydjona poprosiła. Był tak łaskaw że przybył na nasze wezwanie, choć jednej chwili niema wolnej. Zdawało mi się, że pobożny kapłan najpotrzebniejszym panu być może.

— Najpotrzebniejsze — odezwał się podczaszyc z trochę niepokoju, — byłoby mi teraz pewne i bezpieczne schronienie; wszak mnie już i tu podobno chcą szukać, tylko co o tem odebrałem wiadomość.

Anna załamała ręce.

— A ojcze, ratuj, ratuj go na Boga!

Kapucyn namyślił się trochę, przeszedł po izbie, wziął płaszczyk złożony u drzwi, dobył czapeczki z rękawa i rzekł.

— Bierz pan płaszcz, i chodź ze mną, znajdę ci miejsce bezpieczne.

Gdy Anna z wdzięcznością całowała ręce staruszka, podczaszyc posłuszny chwycił płaszczyk i kapelusz, i prawie nie żegnając się wyszedł z księdzem razem.

We wrotach ojciec Spirydjon się zatrzymał szepcząc mu:

— Słuchaj pan, idź jak najdalszą drogą do farty kapucyńskiej na Miodową, tam pytaj o ojca Spirydjona, w klasztorze Wpana ukryję do czasu, ale wprzód muszę na to wyjednać pozwolenie, a razem iść nie możemy.

To mówiąc ścisnął go za rękę, i o kiju ale żwawo posunął się wskazując podczaszycowi drogę przeciwną. Ten skoczył w bok natychmiast, i w ciemności nie pytając dokąd i którędy idzie zniknął z oczu.

Nie upłynęło pół godziny gdy straż marszałkowska napadła dworek Sienińskich, osaczyła go do koła i rozkazawszy roztworzyć bramę, co Hołodryga spełnił ze strachem, splondrowała od strychu po piwnic, w najtajemniejszych nawet zakątach. Pan Kasper nie zapierając się wcale, że podcaszyc u niego się ukrywał, bardzo jakoś naturalnie zaręczał, że rano jeszcze wyjechał niewiadomo dokąd.

Tymczasem zbieg nasz błądził po ulicach przełękły i napadłszy w końcu stojącego przy szyneczku fiakra, kazał mu się wieźć do kapucynów. Rzucił się w powóz zmęczony, zamysłony, zbity, oczy puszczając na oświecone miasto, po którym przed kilką dniami latał z innymi za zabawą i uciechą, wśród którego teraz się jak zbieg błakał. Zajrzał w okna domów, w których się bawiono i zazdrościł szczęśliwym, potem żółć zalała mu serce, i oczy od tego obrazu odwrócił. Nigdzie śladu nie znalazł żaloby po sobie. Nagle fiakr rozpedzony się zatrzymał, światła jakieś i śpiewy ocuciły zdrętwiałego, spojrzął — przechodził pogrzeb.

Długim szeregiem szli księża, zakonnicy, kilku ludzi z pochodniami, a prosty wóz okryty czarnem sukniem powolnie wiózł trumnę czarną drewnianą, odkrytą, z której tylko długi ogon sukni białej i wianek kwiatów widać było. Podcaszyc podniósł się machinalnie na nogi, spojrzął i zobaczył białą, spokojnym snem ujętą twarz pięknej Frascatelli, która go spotkała na drodze do grobu, jakby raz jeszcze chciała pożegnać.

Na piersiach, w złożonych rączkach trzymała swój sztylecik zakończony rękojeścią w kształcie krzyża, bo tak biedna umierając mieć chciała.

Od owego wieczora u księcia podskarbiego, kiedy ją poznał żywą, wesołą, szyderską, do dzisiejszego, ile zmian! pomyślał gorzko Ordyński — tak-że się kończy wszelka nadzieja, wszelka radość ziemską?

Pogrzeb był ubogi i nieludny, żadnego z jej przyjaciół za trumną, wielbicieli, mniemanych kochanków ani slychu; dwie śpiewaczki Włoszki, służąca, kilka bab, bractwo ze świecami i kupka próżniaków. Trumna kołysała się na wozie wstrzęsana co raz nierównym brukiem, a piękna jeszcze główka Włoszki zdawała się poruszać na białej poduszce, ręce nawet ściskające ów krzyżyk, co z nią szedł do grobu, kołysały się na piersiach.

Łza zakręciła się w oczach podcaszycy i zimny obwiał go smutek, uczuł przelotnie całą nicość ludzkiego żywota.

Wtem jak widzenie powietrzne przeciągnął pogrzeb, zniknął, oblały go ciemności, fiakr ruszył i stanęli u klasztornej farty.

Ordyński zadzwonił, spytał o ojca Spirydjona, i spotkał go już z książką w ręku oczekującego w celi fartyjana.

— Chodź pan — rzekł mu starzec, — nie wiem czy ci tu będzie wygodnie, ale pewnie bezpiecznie.

To mówiąc powiódł go na oddalony korytarz i otworzył maleńką celę, czystą, ubogą, zakonną. Tu postawiwszy stoczek na stoliku u wąskiego łóżeczka, prosił podcaszycyca siedzieć, a sam na zydelku pod ścianą się rozgościł.

Obejrzał się Ordyński — czyściej tu, bielej, weselej może było niż u Sienińskich, ale jakoś straszno. Izdebka wydała mu się szeroką tylko trumienką. Okno za kratą, drzwi ciemne dębowe w głębokiej framudze, szafeczka w ścianie, tapczan, stolik a na nim kilka umyślnie położonych książek, zydelek, dzban z wodą, siennik wypchany słomą, a nad głową posłania wielki krucyfiks drewniany — oto co znalazł w nowem swem mieszkaniu.

— Nie oglądaj się moje dziecię — przerwał mu kapucyn uśmiechając się, — nie ma tu co widzieć, ciasno i ubogo, nagie ściany, tyle ile potrzeba dla zakonnika; dla was pewnie to mało, ale to wam dam co mamy.

Podcaszyc zarumienił się złapany tak na odgadnionej myśli i szybko odpowiedział:

— Mnie tu aż nadto będzie dobrze, aż nadto, bylebym był bezpiecznym.

— Zdaje mi się, że za to ręczyć mogę, bo choćbyście nawet zesli kiedy do kościoła i tam was nikt nie pochwyli, w klasztorze nie ma jeszcze zwyczaju szukać i prześladować



nikogo... Dawne prawo schronienia jeśli nie jako prawo, to jako zwyczaj istnieje. Smutno wam tu być może, ale kto wie, nie zawadziłoby w samotności pomyśleć nad sobą i przyszłością. — Świeżo rozrzucony pogrzebem, przygnębiony swoim położeniem, Ordyński odezwał się z wylaniem:

— A! ojczec, gorzkie bo myśli na pokarm przychodzą,.. o świecie myśleć nie warto, ludzie tęsknoty nie warci.

— Balamuctwo moje dziecko, — odpowiedział kapłan. Świat stary zwodziciel to prawda, ale ludzie są różni, a jakich sobie z między nich wybrałeś, takichś miał, jak kto sobie pościeli, tak się wyspi.

Podczaszyc westchnął ciężko.

— Przyszło do tego — rzekł — kapucyn, żeś Wpan musiał godzić na pierś brata, bliźniego, dla czego? dla czczej obrazy honoru! Rozlałeś krew, a! czy nie czas żeby teraz gdy Bóg łaską swoją uratował od zbrodni, wniść w siebie i zwrócić się z tej drogi, która jak widzisz do takich dziur i trapezów prowadzi?

Podczaszyc tak już był odwykl od słów pobożnych, że ich prawie nie pojmował.

— To pewna — rzekł — że żałuję tego co się stało, ale cóż miałem począć?

— Pierwsza rzecz, odparł kapucyn, to plunąwszy porzucić te próżniacze życie. Alborn to ja was takich paniczów i fircyków nie napatrzył się? co robicie? oto od rana do wieczora bawicie się, używacie — śliczni obywatele kraju! śliczni chrześcijanie!

— Ale mój ojczec, przerwał podczaszyc trochę zawstydzony — czasy włosiennicy i dyscyplin minęły.

— Nie kochanku, ludzie tylko przeszli co ich używali i widzisz, że bez nich coś nie lepiej... albo to piękny widok szaleństw naszych gdy toniemy? To jakby wedle słów błogosławionego Skargi, w rozbijającym się okręcie rozpasani na rozpustę majtkowie, lub jak żołnierstwo rzymskie rozegrywające szaty Chrystusowe u stóp świętego krzyża jego. Myślicie że to sprowadzi błogosławieństwo Boże na nasz naród? A jak Pan Bóg ma kochać tych co o nim wiedzieć nie chcą i wolą się perfumować niż modlić?

— Zapewne — rzekł — skłopotany podczaszyc — nie przeczę żeśmy może trochę winni, ale trudno czegoś i młodości nie wybaczyć!

— Wiele, wiele się wybacza, odpowiedział Spirydjon, ale przecie nie wszystko. Gdy się styra, zbłoci, zgnusnieje i zbabieje, to się jej nie wybacza, gdy szaleje zamiast pracować, darować jej tego nie można.

Pierwszy raz oddawna usłyszał Ordyński tak surowe słowa, ale je poszanował, bo mu znów świętą przypomniały babkę.

— Nie chcę Wmości nudzić perorą — rzekł, wstając z ławy, weselszym tonem kapucyn — samotność i dobra książka, uleczą spodziewam się niezadawnioną jeszcze chorobę... masz pan tu *Drogę do życia pobożnego* i Tomasza à Kempis... dobranoc — dobranoc. Obejrzał się jeszcze czy czego nie brakło gościowi i wyszedł powolnie.

Milczenie klasztorne otoczyło przybyłego — myśli jego zburzone wiły się kłębami po głowie, rzucił się na łożo i znużony usnął.

Ale i we śnie dziwie miał jeszcze widzenia, miotał nim szatan wyskakujący z obrazu Ś. Michała, uśmiechał mu się zapraszając go z sobą do trumny Frascatelli, wieszono go potem w trumnie razem z Rybińskim, którego krew buchała w usta zabójcy... potem ogarniały go ciemności, powoli zatętniał dzwonek i szmer jakby długiej cichej modlitwy, zaszumiał w łonie nocy. Napróżno silił się obudzić.

Leżał znów w trumnie, wieszono go przez całą Warszawę, wszyscy znajomi go mijali szydersko, ledwie który głowę odwrócił, by nią pokiwać obojętnie, zobaczył i Annę idącą za swoim pogrzebem, i kata w czerwieni z mieczem — i babkę nad sobą w obłokach i tysiące postaci znanych i nieznanych, a śmiech szatana chwilami aż tłumiał dźwięki dzwonu, tak się rozlegał szeroko. Znużony snem i marami, otworzył oczy otoczony białym dniem i znalazł się na podłodze, gdyż miotając się widać spadł z łoża. Zobaczywszy różowe blaski wschodu, otworzył okno na ogródek wychodzące, spiekle czoło wystawując na chłodzący powiew poranku.

## XII

Następnych dni, ojciec Spirydjon w chwilach wolnych nie omieszkiał odwiedzić Ordyńskiego, a każda jego rozmowa coraz głębiej sięgała w serce młodego człowieka, który w tej ciszy ciągłej myśleć musiał i myśl zwracać na siebie.

Staruszek też nie gromił go ani przestraszał — zawstydział, żartował, wskazywał cele życia, łamiąc niebezpieczne zasady i przekonania, które Poincot wpoił w młodą i wrażliwą duszę. Nie natarczywy, cierpliwie i powoli dokonywał to dzieło nawrócenia, które podjął z ufnością w Bogu, niezrażony tem wcale że rolę znalazł chwastami zarosłą. Podczaszyc w początku słuchał go z roztargnieniem, jakby z konieczności tylko, potem uważniej nieco, ale mało korzystał jeszcze. Z nudy pochwycił książki umyślnie mu zostawione i odrzucił je, bo ich rozumieć nie mógł, i wrócił znowu do nich, a słowo czasem jedne, ciągnęło zeń długie pasmo dziwacznie pomieszanych myśli.

Zostawmy go w tem bezpiecznem ustroniu, a przejdźmy na ten świat, który opuścił. Tu zniknięcie jednego zapaśnika ani się postrzedz dawało, szal szedł bez niego swoją starą drogą, a ludzie i o podczaszycu i o Rybińskim, który leżał walcząc ze śmiercią jeszcze, zupełnie zapomnieli.

Starościc Rybiński co dzień jednak miał się lepiej.

W początku cała Warszawa brała udział w jego cierpieniu, a pani wojewodzina aż się była rozchorowała, posyłano, dowiadywano się, lecz po upływie jakiegoś czasu poczęło to ustawać, a piękna Karolina widząc że się nie rychło doczeka jego powrotu do zdrowia, wybrała mu zastępcę, choć jeszcze po nim czasem wzdychała wieczorami. W parę tygodni doktorowie zaręczali już za życie, ale podczaszycowi pokazywać się jeszcze nie było można, bo zawsze by za zadane rany i napad z bronią w rękę, przed marszałkowskim sądem odpowiadać musiał.

Tymczasem po zniknięciu Ordyńskiego, dom jego, konie, sprzęty, przez wierzycieli przyaresztowane zostały, rozciągniono nawet sekwestra na majątki, a po obliczeniu strat, które w ciągu pobytu w Warszawie poniósł, okazało się że połowę większą majątności sprzedać by potrzeba, ażeby długi uspokoić. Reszta majątności znacznie też zahartowana była przez podczaszynę do Włoch jadącą, tak, że w najszcześniejszych okolicznościach, Głusza mu i coś jeszcze przy niej pozostać mogło. Nie było też komu chodzić około interesów, a że wierzyciele i zastawnicy ostro się pilnowali, wszystko przez nich zostało pozajmowane w administrację.

Stan majątku był niemal zrozpaczony, a podczaszyna której o tem doniesiono, odpisała do Labe Poincot, że bardzo ubolewa nad położeniem syna, ale go poratować nie jest w stanie, i do kraju wrócić nie myśli, radząc, by spieniężywszy w Polsce resztki jakie ocalić potrafi, do niej do Florencji się przeniósł.

Podczaszyc odebrawszy ten list, przeczytał go i obojętnie odłożył na stronę. Nie ciągnęły go wcale Włochy — co by tam robił ubogi? tu jeszcze miał nadzieję dźwignienia się, tam żadnych. Może też uczucie jakie wzrosło w samotności przywiązywało go do kraju, choć się przed sobą do niego nie przyznawał.

Anna zjawiała się niekiedy w kościele do którego umyślnie często teraz modlić się przychodziła, a i on mszy słuchiwał w łoży od niejakiego czasu. Młoda miłość ku niej obudzała się coraz żywiej, pierścionek, nawet z piersi poszedł na palec — bo się go już teraz nie wstydził.

Sam sobie dziwił się jakim szczęściem samo widzenie jej napawało go zdaleka, jak go wzruszał jeden rzut oka, który ku niemu posłała, dziwił się że więcej nie pragnął, że z tęsknem i spokojnem przywiązaniem miło mu było dumać o niej dnie całe.

Od owej nocy, w której się przeniósł ze dworku Sienińskich do klasztoru, cavaliere już mu się nie ukazał więcej — miał jednak jego wizerunek przed sobą, bo mu Anusia odzyskawszy z domu obraz Ś. Michała przysłała. Ale szatana zakrył, by go nie widzieć.

Rozważał teraz jak dziwnie ta postać wplątała się w jego życie i jaki na nie wpływy wywarła. Znajdował ją na każdym kroku, wszędzie z pomocą pozorną, a zawsze wiodącą do zguby... dziwaczne myśli wiły mu się po głowie.

Raz tedy gdy ks. Spirydjon przyszedł do niego rankiem po mszy, podczaszyc niby żartem począł coś o szatanie; zakrycie jego twarzy na obrazie, o które się kapucyn zapytał, było powodem rozmowy.

— Ojcie — rzekł mu spoufalony już z nim trochę — już cię szatan jest prostym wymysłem?

— Jak to? moje dziecko, spytał ks. Spirydjon.

— Już cię, i u nas nawet ks. Bohomolec z niego się śmieje.

— A! Bohomolec może! ale na co ci to pytanie? mów mi otwarcie, bo zdaje się, że krętą ścieszką dokądś dążysz.

— No, to powiem wszystko otwarcie, ale się ze mnie nie śmieję mój ojcie — odparł podczaszyc — zawstydzony prawie odkrywając postać szatana na obrazie — Widzicie tego anioła ciemności, tę poczwarę, straszliwą, dumną i wykrzywioną śmiechem przekleństwa głowę?

— Widzę i zdumiewam się malarzowi, co ją tak pomyślał i wyraził!

— Ten obraz należał niegdyś do babki mojej, świętobliwej niewiasty, modliłem się nie raz przed nim w dzieciństwie do mego patrona, a na dziecku jeszcze tak wielkie robiło wrażenie, że mi się we snach roila ta potwora. Później strach przeszedł, ale wstręt pozostał.

— No i cóż dalej! Dziwną mi historją prawisz — rzekł ks. Spirydjon.

— Najdziwniejsza dopiero się rozpocznie — cichszym głosem począł podczaszyc — oto tu w Warszawie, wkrótce po moim przybyciu, wciągniono mnie na wieczerzę hulacką do księcia podskarbiego.

— Niema co mówić, dobre miejsce dla skończenia edukacji — szepnął kapucyn.

— Tam począł ze mnie sobie szydzić młodzik, i ktoś mi podrzucił pytanie, że pewnie choć w djabła wierzyć muszę. Ja w śmiech, ale oglądam się, a tuż w zwierciadle kubek w kubek mój djabeł z obrazu mi się kłania.

— No! no! — zawołał ks. Spirydjon — to coś bardzo zawiłego, czy ci się tylko nie przywidziało?

Podczaszyc jak najdokładniej opowiedział staruszkowi swoją znajomość z cavaliere Fotofero, jego usługi, rolę jaką w krótkim życiu odegrał i każdy krok tego dziwnego przyjaciela aż do ostatnich odwiedzin.

Kapucyn dobrze mu patrzył w oczy, jakby go trochę o sen na jawie lub bzika posądział, a naostatek dodał:

— Są rzeczy niepojęte moje dziecko, ale gdy człowieka opanuje niemoc, a wie na nią lekarstwo, jakby go nazwano gdyby użyć nie chciał?

Podczaszyc milczał.

— A na djabła — dołożył ksiądz — czy on *incarnatus* czy *invisibilis*, jeden mamy pewny środek od lat tysiąca siedmiuset kilkudziesięciu — krzyż święty i modlitwę — czyżeś ich waćpan użył kiedy?

Podczaszyc rozśmiał się, bo dotąd niestety modlić się wstydził, a rady babki nie umiał posłuchać. Kapucyn spojrział na niego i tabaki zażył.

— Tacy to z was teraz ludzie — rzekł — wierzycie we wszystko krom w Pana Boga, w oszustów illuminatów, w Mesmerów, Caglistrów, w Swedenborgów, w ducha Gabli-dona, w Massonów i całą klikę ich, we wróżby, czary i widzenia, a gdzie istotnie wierzyć potrzeba, to wstyd!! Oj ciężko nas Bóg z tego kurować będzie musiał mości panie, zapiszczym, zaskwirczym... Ale nie dowołam się litości póki...

Starzec zamyślony zamilkł.

— Ale cóż ojcie sądzisz o tem? — spytał podczaszyc — to dla mnie coś niepojętego.

— A dla mnie jasno jak na dłoni, że gdybyś się modlił, to by cię ta słota opuściła. Reszty ja nie tłumaczę, bo nie wszystko się tłumaczy.

Ordyński siadł zadumany.

— Waść się djabła zaparłeś że w niego nie wierzysz, śmiejąc się dodał kapucyn — co za dziw, że dumna sztuka chce się zemścić, to tak jakbyś się waszeć nie uklonił wielkiemu panu i tyłem się do niego obrócił. Pan Bóg, choć go się co dzień słowy i czynem zapieramy — *patiens quia aeternus*, a temu graczowi niedaleka może meta, musi się o swój honor upomnieć!

— Ojcie żartujesz sobie ze mnie?

— Śmieję się, prawda, ale kto wie czy żartuję. Mądry nasz wiek w nic wierzyć nie chce w co ojcowie wierzyli, nowe sobie koncypując artykuły, i na czele stawiając jakiegoś Pana Boga (odpuść Panie) swojej roboty, a dalej cały rząd inwencji różnych.

— Jakże tu z wami o tem i mówić kochanku? od czego zacząć ludziom starej wiary, co wiele rzeczy i nie pojmujemy i rozbierać nie śmiemy; gdy wy macerujecie każdą rzecz, nie patrząc czy narzędzie, którym robicie swoje analizy bierze materiał czy nie! Słowem, heblujecie wodę i świdrujecie powietrze!

A widząc chmurną twarz gościa swego zakończył:

— Zrób to waćpan dla mnie, a pomódl się też kiedy, popróbuj! Świętą miałaś babkę co cię wychowała, na łożu śmierci woła do ciebie zdaleka prosząc byś nie zapomniał o Bogu — czemuż i dla niej uczynić nie chcesz, co ci przecież zaszkodzić nie może?

Nic nie odpowiedział Ordyński przez fałszywy wstyd jakiś, w którym go zakamieniły sarkazmy Labe Poinso, i pojęcia na których podraszał przy matce. Stary kapucyn westchnął boleśnie, zamilkł, i po cichu odchodząc, zostawił go samemu sobie.

### XIII

W ozdobnych pokojach od czoła jednego z pałaców ulicy Senatorskiej, przechadzało się dwóch ludzi o szarej wieczornej godzinie. Służący zapalali świece w żyrandolach i przygotowywali się do przyjęcia widać spodziewanych gości. Apartament, w którym się to działo, świeżo był obity, przystrojony, i świecił przepychem, pragnącym więcej popisać się bogactwem niż smakiem.

Znać w nim było człowieka, co myślał jakby z ust wywołać wykrzykniki: musi być panem.

Wielka sala cała wybita była adamaszkim zielonym w kwiaty, w złożone oprawnym ramy, firanki podobne z frędzlą złocistą osłaniały okna, żyrandole świeciły od szkieł i bronzów, liberja strojna w pończochach i trzewikach zwijała się w wielkiej liczbie.

Gospodarzem w tym wspaniałym domu był Włoch ów, Cerulli, któregośmy już widzieli u podskarbiego i podczaszyca, co tak nagle znikł z Warszawy, a teraz bezpiecznie powrócił i znów dom otwierał na większą jeszcze niż pierwszej stopę.

Towarzyszem z nim rozmawiającym był cavaliere Fotofero, czarno strojny, wyelegantowany, z dość zafrasowaną minką. Oba ująwszy się pod ręce chodzili po sali wielkimi krokami, wiodąc z sobą żywą rozmowę.

— Nie inaczej — rzekł Fotofero — potrzeba podczaszyca ratować, bo gdzieś ze strachu zaszył się w kącie, a tam go pewnie zaskoczą ludzie co nawracać lubią i zbałamucą głowę młodemu chłopcu. Zajmuje on mnie wielce, nie radbym żeby marnie zginął, potrzeba go uwolnić z tej kozy i na świat wyciągnąć.

— Stracił słyżę majątek?

— Być może i nie byłoby to dziwnem, ale czyż jeden żyje i hula nic nie mając? Od czegoż kredyt, przyjaciele, kobiety i karty?

— Zapewne, ale do dawnego trybu życia nie wiem czy powróci.

— Mylisz się, byleby się ukazał, łatwowierni, których pełen świat, kredyt mu powrócą, ciekawi będą się cisnąć do niego; trochę śmiałości a potrzyma się jeszcze na nogach. Potrzeba tylko naprzód, żebyś ty go rehabilitował w opinii. Już się okazuje z samego przyjęcia tutaj, że nowym charakterem odziany, nie jesteś, nie możesz być w podejrzeniu o szulerkę, za co właśnie z Rybińskim była robotą; znajdziesz łatwo, przegrawszy im trochę, dwóch, trzech ludzi co pójdą z tobą upominać się o twoja krzywdę u postrzelonego starościca, dasz sobie aplomb i zbawisz Ordyńskiego.

— A ba! generał i szambelan by poszli!

— Dosyć ich będzie, obu dzisiaj mieć będziesz, poproś ich o to. Jak skoro skończysz z Rybińskim, a podczaszyca się uniewinni, nic mu nie będzie przeszkadzać do pokazania się na świecie, awanturę zatrzeć łatwo i skargi eliminować. Zresztą jeżeliby się wahał wyjść ze swojej dziury mój protegowany, o co mi wielce chodzi, znajdę na niego sposób...

— Obfity jesteś w sposoby — jaki?

— Najlepszy! Najzałem w dworku do którego się był schronił, prześlizgnę dziewczę, widocznie jakąś jego sekretną dawną a ulubioną kochankę. Ludzkie oko dotąd jej nie zna w Warszawie, a to kąsek smaczny. Było o niej rzucić słówko tym poczciwcom którym nic nad nowość nie smakuje, posuną się do niej, zaczną się kręcić, ścigać a jego zaraz zazdrość wypchnie z kąta na obronę faworytki. Wyciągnę go jak za wędkę, bo mi doprawdy żal — zmarnieje to...

— Widzę że ci o to bardzo chodzi, żeby podczaszycia świat odzyskał! — rzekł z uśmiechem szyderskim Cerulli.

— Bo mi go żal, bo szczerze żal, z praktycznego filozofa jakim już być poczynął, łatwo go tam przerobią na pospolitego bigota.

— Czy należał do Wschodu? — spytał Cerulli.

— Dotąd nie — odpowiedział cavaliere — ale lada dzień bylibyśmy go wciągnęli gdzie chcieli, bo mu się głowa paliła, bardzo by się przydał na prowincją.

— Cóż kiedy tak słabego charakteru?

— Ale jest uczucie honoru! Słaby człowiek zresztą, w rękę mocnego człowieka, to jedno z najlepszych narzędzi do działania, bodaj to z nimi tylko mieć do czynienia!

I rozśmiał się głośno, a w tem rozmowa przerwana została wnijsciem kilku osób znajomych nam już z tej powieści, które się spotykały prawie wszędzie gdzie się wesoło bawiono. Szukali naówczas i najumiarkowańsi gdzieby trochę poszaleć i odurzyć się mogli, tak ciężkie brzemień frasunku wkładała na ich ramiona owa epoka walki.

Szambelan Turski, sławny swoją mową w procesie Ponińskiego, jeden z naczelników massonerji warszawskiej, Trembecki, Łojko, Kicki, Węgierski, Komarzewski, Suchodolski i kasztelan orator, nadeszli jedni z pierwszych, za nimi poczęli się ściągać i mniej znajomi goście, wśród których ukazali się Zabiełło, Bielawski, Witten, Wejssenhof, Zajączek i poseł inflantski, sławny już naówczas autor śpiewów kilku, dum, bajek i komedji w rękopiśmie przygotowanej, która czytana naprzód u Mostowskich, potem na innych wieczorach, wielki rozgłos i wielkie zjednała mu oklaski. Mnóstwo przytem posłów i różnego stanu ludzi nacisnęło się na ten wieczór u Cerullego, który świetnie się zapowiadał.

U drzwi sali witał swoich gości pan Cerulli w paradnym stroju *a la française*, z kilku krzyżami, któremi się obwiesił z widoczną intencją pokazania ich wszystkim, z uśmiechem dumy, zadowolenia i łatwością człowieka dobrego tonu. Fotofero cofnął się zaraz i niepostrzeżony zmieszał z tłumem. Zawsze tak u nas bywało, gdzie gra i przyjęcie, stół otwarty i kielichy, nie wiele pytają o imię i pochodzenie gospodarza. Lada przybędą byle drzwi otworzył, stoliki rozstawił, gromadzi do siebie i sam łatwo wszędzie znajduje przyjęcie. Tak było i wówczas z większą jeszcze może niż dziś łatwowiernością; lada cudzoziemiec umiejący po francuzku, ubrany porządnie a mający czem przyjąć, stawał na stopie poważnej. A jeśli jeszcze świeciły na nim kilka cudzoziemskich orderów i opiekowali się możniejsi, ani spytano z jakiej to dziury wylazło na świat.

Wśród zabawy, przy której początku i mowy o kartach nie było, Włoch ciągle się uskarżał na Rybińskiego, ubolewając, że skład okoliczności, gwałtowna potrzeba, która go nagle do Wiednia powołała, nie dozwoliły na gorącym razie o krzywdę się swoją upomnieć. — Wszyscy słuchali go w milczeniu, i powoli przekonać potrafił, że czuł silnie wyrządzoną sobie obelgę.

Przed wieczrą zmuszono szambelana Węgierskiego że przeczytał wiersz swój do Zamojskiego, jedyny pochwalny jaki w życiu napisał, i okryto go oklaskami; potem poproszono posła inflantskiego o wyjątek z *Powrotu posła*, a że i Bogusławski się znalazł pod ręką, powierzono mu odczytanie scen kilku przyjętych z wielkim zapalem. Gospodarz choć po polsku ani be ani me nie rozumiał, cieszył się z humoru gości i wierzyć zdawał oklaskom, do których szczerze przysypywał nie żalując dłoni. Rozmowa potem ożywiając się coraz, dotknęła polityki, społeczeństwa, a w ostatku przeszła w plotki o kobietach, finał nieuchronny każdej polskiej gawędki. Wspomniał ktoś wojewodzinę, ztąd Rybińskiego i podczaszycia.

— Żal mi tego chłopca — rzekł generał liczący się dla formy zawsze dla przyjaciół jego, w nadziei, że może jeszcze na wierzch wypłynąć — żal mi go, bo jak się okazuje skrzywdzony był i za żywotę tylko pokutuje.

— Zdaje się — dodał ktoś — że gdy Rybiński wyzdrowieje, nic mu nie będzie na zawadzie do pokazania się znów na świecie.

— Ale słyszę — szepnął generał — strasznie wiele przez ten roczek prześwistał.

— A co tam! — zakrzyczano — jeszcze bogaty, matka jego żyje po księżęcemu we Florencji, dobra ma ogromne choć zahartowane, ożeni się i interesa podkuruje.

— Myślisz pan? — spytał generał.

— Jestem tego pewny, byleby ubił do licha to zajście z Rybińskim, pogodził się z nim, wszystko się zreperuje. Zwłaszcza, że tu i kłócić się nie ma o co; winien starościć był, dostał

naukę, wychodził się z niej i sza. Co się tyczy wojewodziny, nie mają się już o co jeść, kiedy trzeci zajął miejsce przy jejmości.

— Cha! cha! — wmięszal się ze swym śmieszkiem suchym Cerulli — podczaszy jak się widzi serce miał szerokie, wszak ci to, panowie uwierzycie, przy tylu amorach na któreśmy patrzyli, jeszcze jedną jakąś chował potajemną faworytkę, slysze cudo piękności, utrzymywał ją gdzieś we dworku na Bednarskiej ulicy.

— Ja ją nawet najrzałem — przerwał jenerał — śliczna dziewczyna niema co mówić.

Wszyscy uszu nadstawili, bo nowa, nieznana i zalotna jak sądzono piękność, była dla nich niespodziewaną i miłą gratką.

— Cóż się z nią stało? gdzie ona? — spytano zewsząd.

— Zdaje mi się że pozostała w dworku na Bednarskiej ulicy, ma to być wiejski kwiatek — dodał Cerulli z włoskim akcentem szarlatana zachwalającego cudowny olejek leczący rany, zasiewający włosy i wywabiający plamy — ma to być wiejski kwiatek prześliczny, coś niewinnie pięknego...

Młodszy panowie spojrzeli po sobie.

— A gdzieżby to ją zobaczyć można? spytał kasztelan orator.

— W łazienkach nie bywa — szepnął ktoś z cicha po za nim — to pewna.

— Chyba w oknie dworku, bo nigdzie nie pokazuje się i nie wychodzi... dziecię to jeszcze, ledwie może szesnastoletnie.

— Ba! w to graj! — cmoknął kasztelan ręce zatarłszy — a do tego nie Warszawianka. Jakże się to dzieje, że jej dotąd nie wyszpiewowano i nie zbałamucono.

— Ale bo to ma być na serjo kochanka podczaszyca i dziewczyna pocziwa!

— Cha! cha! — zaśmiał się stary fundator kąpieli, ruszając ramionami i udając że na dłoni liczy pieniądze — a to od czego?

Podkomorzy brański, który oddawna ziewał, pociągnął za rękaw gospodarza.

— A co grać nie będziemy? spytał.

— Nie chciałbym — rzekł Cerulli wymawiając się.

— No! no! na bok niepotrzebna skromność! Każ podać kart i kości, niech poeci i literaci pod nos sobie każą, my czasu nie traćmy! Niech sobie pan Bielawski z Węgierskim jedzą się kiedy chcą od nóg czy głowy poczynając, Ursino niech bajki prawi, a inni choćby i prawdy mówili, nic nam to do gry przeszkadzać nie może.

Prosimy o karty, *unanimiter* prosimy o karty — podał jenerał i inni za nim.

Gospodarz wahał się jeszcze nieco, ale wreszcie uledez musiał słodkiej przemocy, i kupka złota błysnęła na zielonym suknie. Ci co grać nie mieli ochoty, pili, rozmawiali, porozchodzili się, a że salon taki wygodnym był miejscem do schadzki i rozmowy, korzystając z zajęcia karciarzy, sformowały się kupki politycznych rozprawiaczy i posłów o przyszłej naradzających sesji.

Ofiary które znoszono zewsząd na wojsko mające się podnieść do stu tysięcy żołnierza — z których wiele nosiło na sobie charakter prawdziwie obywatelskiego poświęcenia i zapału, zajmowały w tej chwili kilku najgorliwszych; począwszy od kutyh wozów Marjańskiego kowala, do pieniędzy, pułków, sprzętów, do osób które same siebie przychodziły poświęcać na usługę kraju, nie było daru któregooby w pierwszych dniach po uchwaleniu prawa nie złożono na ołtarzu. Srebra, kosztowności, ślubne nawet pierścienie, konie, broń, znaczne sumy pieniężne, całkowite starostwa dawano tłocząc się i usiłując innych uprzędzić, a uniesienie z jakim to czyniono podwajało znaczenie datków, niestety! niewystarczających jeszcze na to, co dźwignąć miały. Spodziewano się jednak, że gdy miasto i kilku możnych tak wiele zrobić mogli, kraj z ochotą roboty tej dokończy.

Rozmowa o różnych sprawach potocznych sejmku trwała godzin kilka pocichu między zgromadzonymi, gdy zgrany trochę gospodarz bank zamknął i drzwi otwarto do sali jadalnej rześisto oświeconej, w której stół w tajemniczy ustawiony był trjanguł.

Jenerał Baucher, dawno oczekujący tej chwili uroczystej, pierwszy rzuciwszy karty, wotować począł aby praw żołądka nie zapomniano a potrawom nie dać stygnąć, i wszyscy *affirmative* głosując, hurmem się sypnęli w drzwi otwarte.

Łakotnisie rzucili się zaraz na ogromne stopy olbrzymich raków, które jak koralowe piramidy z trzech rogów stołu się wznosiły na wielkich srebrnych blatach. Baucher założył serwetę pod brodę i już obcy rozmowie wszelkiej, oddał się cały przekonywaniu, dowodząc że dwom panom na raz służyć nie można.

Raki, ostrygi, ryby, mięsiwa, pasztety, oblano przedziwnym winem, którego był dostatek, a goście w uniesieniu admiracji gospodarza, przy końcu wieczerzy gotowi go byli żywcem kanonizować. Korzystając z tego szczęśliwego usposobienia i coraz żywiej objawiających się czułości, Cerulli stanął nagle z kielichem w ręku i prosił o głos — stało się milczenie wielkie.

— Panowie! rzekł Włoch, pozwólcie bym przy tej zręczności wziął za słowo miłe oświadczenia które tu odbieram — ratujmy człowieka, i droższy nad wszystko honor niewinnego. Honor nad wszystko! nieprawdaż? Wzywam tu przytomnych jenerała i pana szambelana P... aby mi byli łaskawi jutro towarzyszyć do Rybińskiego! Mogę liczyć na łaskawą pomoc?

Jenerał który poczynił już trawić, a odbywając tę funkcję sprzeczać się nie lubił, kiwnął tylko głową dając znak zezwolenia i gotowości. Szambelan którego wino czyniło czułym, poszedł aż ścisnąć Cerullo, którego wycalował przy tej zręczności na wszystkie strony, przyrzekając *unguibus et rostro* bronić go (póki będzie dawał podobne wieczory).

— Czekam tedy kochanych panów jutro o jedenastej ze śniadaniem — rzekł kłaniając się Cerulli; posileni ostrygami, które pocztą sprowadzić kazałem, ruszmy rozmówić się z panem starościcem. Niech mi powróci co wydarł — imię zacne de Cerullich hrabiów państwa Rzymskiego, nie dozwala mi i chwili ścierpieć tej plamy! Rzekł — a szumny toast wzniósł się na cześć amfitriona, którego *de* przyjęte zostało oklaskami.

Jenerał jednak pozostał zamyślony, raz że w rakach przebrał trochę miarę, powtóre że niekoniecznie był rad zadrasnąć Rybińskich, i kłaść palce między drzwi; — myślał jakby się wykręcić — ale niestety! nie było sposobu!

Wieczór skończył się prawdziwą orgią pijacką, w której uczestniczyła znaczna część tych co jutro zasiadać mieli na prawodawczych ławach. Ranek powitał niedobitki śpiewające pieśń Hiramową i przy pienu o wschodzie, istotny wschód słońca zajaśniał w oknach sali. Drzemiących śpiewaków karety porozwoziły po domach.

## XIV

Rybiński przechadzał się już po pokoju i przyjmował przyjaciół, którzy odwiedzać chcieli; miał się znacznie lepiej, błąd był tylko i wpływem krwi i djetą osłabiony, ale mu za parę miesięcy zupełne zdrowie i powrót dawnych sił prorokowano. Znudzony zamknięciem, nie lubiąc książek, bo wcale nie rachował na rozum i literaturę, bawił się sobie wystrzyganiem sylwetek, które robił bardzo zręcznie i grą w szachy ze starym panem Mieleckim szlachcicem kujawskim, który przybył jako stary przyjaciel domu pielęgnować go w chorobie, i żyjąc na koszcie księdza biskupa, bardzo był rad gratce która mu się upiekła *insperate*.

Kłócili się trochę przy szachach i marjaszu z panem posłem: połajał czasem Rybiński lub djabłami wyklął, nabondiuczył się pan Mielecki i postawił okóniem, ale te burze codzienne przechodziły szybko i po nich znowu w godzinę najlepsza wznawiała się komitywa. Resztę czasu, gdy Kujawiak na piwo lub miasta powąchać poszedł, spędzał pan Rybiński w oknie na miłym przypatrywaniu się ulicy, lub gawędzie z Maćkiem, dawniej pajukiem dziś pierwszym swym sługą. Taki był stan i zajęcie konwalescenta, a właśnie gapił się przez szyby nie mając co robić następnego ranka, gdy ujrzał trzy karety zatrzymujące się w bramie; a że go wielu odwiedzali i gościom był rad, a kujawiaka nie mając pod ręką nudził się — nie pytając kogo Bóg dał, Maćkowi puścić kazał. Zdziwił się nie pomału postrzegłszy po osobach gdy weszli, że to się włókl jeszcze ogon sprawy z podczaszycem.

Jenerał, szambelan i de Cerulli, uzbrojony we wszystkie swe ordery, weszli bardzo poważnie jak przystało na ludzi mających sprawę honorową na karku — skłonili się z daleka, a szambelan P. jako najwymowniejszy, z gracją i polityką dworską rzecz rozpoczął.

— Starościcu dobrodzieju — rzekł ówczesnym stylem wieku, co wymowę często w płataninie mieścił — cieszy to nas niepomału że mamy szczęście oglądać go w zdrowiu pomyślnem i powtórnym raz w progach życia, jakby na nowo na świat narodzonego — pora to zdaje się rozpoczynając *cursum vitae renovatum ab alto* — naprawić lekkie może ale pewnie bolesne uchybienia, jakie z prędkości, żalu, lub serdecznej jakiejś afekcji popełnić się mogło.

Starościc znużony, zmięszany, nic jeszcze nie zebrał się odpowiedzieć, szambelan zrobił przestanek, zażył tabaki i własną elokwencją uradowany, tak dalej rzecz swoją ciągnął.

— Tak jest, przybyliśmy tu jako pośrednicy i posłannicy zgody z gałęzią oliwną.

Rzecz nam pan ucha łaskawego nie poskąpić; przystępuję do krótkiego eksponowania interesu!...

— Ale ja żadnego interesu nie widzę i do żadnej się winy nie poczuwam — odburknął starościc, któremu impet zwyczajny powracał.

— Za pozwoleniem to się zaraz wyjaśni — o ucho łaskawe proszę. Przytomny tu hrabia de Cerulli, Neapolitańczyk, krzyża złotej ostrogi, św. Huberta i duńskiego słonika kawaler, naczelnik Melchizedechowych łoż na Wschodzie naszym — czuje urazę do pana starościca o lekkie słowo w żalu rzucone, gdyś się go zdał pomawiać o grę nieuczciwą. To dało powód do nieszczęsnej zemsty objętego wyrzutem podczaszyca Ordyńskiego. Tak lekko ludzi szacować nie godzi się, i to właśnie do poprawienia zostaje.

— Tak, należy do poprawienia — dodał generał — który się już nudzić począł — kochany starościcu, zapomnij niesłusznego żalu i wróć honor komu go ująłeś nierozważnie.

— Jakże ja to odwołać mogę com powiedział — zapytał Rybiński, zaczynając się mieszać trochę.

— Całe miasto i najlepsze towarzystwa, najdostojniejsze damy znają hrabiego de Cerulli jako najzacniejszego, najszlachetniejszego człowieka. Pozycja jego w naszym Wschodzie i wysokie posłannictwo, które piastuje, udowadnia charakter jego. — W tej chwili Rybiński należący do łoży spojrzął na Włocha, a ten dał mu znak po którym starszego poznał posła, skłonił głowę w pokorze i rękę podał na znak zgody.

— Skoro tak jest, winienem zapewne — rzekł ciszej — ale proszę przyznać, żem drogo opłacił prędkość, bo z drugiego świata powracam, nie wymagajcież odemnie jakiego upokorzenia.

— Uchowaj Boże — krzyknął szambelan, rad że się kleiło jakoś — o to tylko chodzi, abyś pan hrabiemu de Cerulli wrócił *activitatem*, a tamtego o strzał nie *prosekwował*, boś go sobie sam naprowadził krwią gorącą.

— Podczaszycowi wybaczam, sambym może był nie lepszy, dzięki Bogu żyję, winę uznaję, kiedy o to chodzi i rzecz skończona, ale wątpię by stryj mój równie powolny był do zgody.

— To rzecz nasza — rzekł generał — król Jegomość przyrzekł w tym względzie przeważną instancją swoją o on to na ks. Kujawskim wymoże.

Starościc skłonił się grzecznie i zamilkł. Rzeczy jakoś nadspodziewanie gładko się ukartowały, a braterstwo w łoży niezaprzeczenie największą ku temu było pomocą. De Cerulli zbliżył się do starościca.

— Muszę też panu — rzekł — jaśniej wytłómaczyć się dla czegoś naówczas znikł i zaraz się nie starał o wyklarowanie tego nieszczęśliwego nieporozumienia. Wiesz pan, że rozkazy starszych nie cierpią zwłoki, a z nieposłuszeństwa wytłómaczyć się niczem nie można — odebrałem był właśnie rozkaz odbycia poselstwa spiesznego do Wiednia dla narady o połączeniu łoż ścisłej obserwacji z eklektycznemi, i wynalezienia środków przeciw illuminatom, co nas i prześladowają i z przed nosa nam ludzi biorą... musiałem dniem i nocą lecieć... nie było sposobu.

Rybiński milczeniem przyjął wymówkę, a widać już było ze wszystkiego, że dlań obojętną była reszta sprawy, gdyż główne punkta załatwione zostały.

Generał odzyskawszy swój dobry humor, gdy wszystko lekko tak i dobrze poszło, wstał, poczynając sypać jak z rękawa miejskie plotki.

— No starościcu — dodał — czas ci już wyjść na świat; będziesz błady, interesujący, sam czas starać się o pannę, bo do męzatek ci nie życzę, tam bladeść źle rekomenduje. Mamy panien hukiem i bogatych i ładnych, ożenisz się jak sam zechcesz, bo młodzieź hurmem się wynosi do wojska, a o męzów wkrótce będzie trudno.

— Śliczneż to wojsko — dodał śmiejąc się szambelan i wydeklamował przekręcony do okoliczności urywek jakiegoś paskwilu:

Szable kute w żelazo, naramniki belki,  
Kurtki, spodnie szerokie, kordony, fręzelki,



Różne hafty, ostrogi, nadewszystko miny,  
Witajcie Möllendorfy, Laudony, Szweryny.

— No, a teraz gdy już mamy słowo szlacheckie i rzecz skończona, do widzenia starościcu — dokończył generał podając rękę. — Oznajmiemy biednemu podczaszycowi że się na świat po swoich rekolekcjach wychylić może! — Starościc odpowiedział znowu milczącym ukłonem i słowy.

— Byleby ks. biskup na to się zgodził, jak gotów rękę podać, ale deprekacji żadnej publicznie czynić nie będę.

— To się rozumie! — zawołał szambelan — czyn starczy za słowo.

To mówiąc pożegnali się i odjechali poslowie, a de Cerulli tryumfujący, powracając z nimi zawiózł ich jeszcze do winiarni, którą generał wskazał, dla zalania zgody kilkoma butelkami starego węgryzyna.

Rozstali się pijani i w najlepszej w świecie przyjaźni.

Gdy się to dzieje, wczorajsi wieczorni goście Cerullego wzięli bardzo do serca i na język wieść o tajemnej kochance podczaszycy, i ponieśli ją po mieście.

Zrana już król Jegomość, od starosty Piaseczyńskiego, od Russa i od Brunet'a z kolei o tej Anusi się dowiedział, bo głód był jakoś na tego rodzaju nowinki, i każdy myślał że królowi nowalją przyniesie. Stanisław August aż się o Anusię Bauchera spytał, bo był ciekawy świeżych twarzątek i myślano już jakby mu ją gdzie pokazać. Tymczasem szpiegi pani... pobiegli do niej zaraz z doniesieniem o przygotowującej się jakiejś niewierności królewskiej, a N. pan najniewinniej odpokutowawszy za prostą ciekawość, nie śmiał więcej spytać o dziewczynę. Swobodniejsza młodzież tego dnia poszła na zwiady, i kilku się założyli, że nie tylko ją zobaczą, ale z nią mówić będą. Wszyscy cisnąc się do nieznanomej pewni byli że to jedna z tych piękności w jakie od Sasów obfitowała Warszawa, z tych pięknych dziewcząt znanych tylko z imienia i wdzięków, o które bywały pojedynki i zwady gorszące, bo za ich wozem szły całe pułki starych i młodych wielbicielei.

Rój kawalerów rzucił się na ulicę Bednarską, szukając dworku, pytając o sławną Anusię. Ona tam płacząc siedziała nad starą księgą, dumiała o dziwnym losie który ją związał z człowiekiem, co nigdy stalszym węzłem nie mógł się z nią połączyć — a do koła ciekawi i natrętni wszelkimi sposobami dobijali się jej okien i bramy. Śmielszy pan Węgierski, który ładne twarzątki lubił a konceptu mu nigdy i śmiałości nie brakło, wprost sobie do wrót zapukał.

Że naówczas ani pana Jana, ani Kaspra nawet w domu nie było, Hołodyga niecierpliwy sam wrót pilnował, czekając rychło go powrotem swym uwolnią pod kościół.

On więc otworzył szambelanowi, który obejrawszy tę postać ciekawą, i heroicznie ją brzydką znajdując z admiracją teratologa wyegzaminowawszy od stóp do głowy, zdjął kapelusz i grzecznie powitał żebraka.

Hołodyga wziął to za żart, począł się już krztusić z gniewu, a że w złości gorzej jeszcze mówił niż zwykle, wydał tylko jakiś krzyk dziki.

— Doskonale! jakie pierze taki śpiew! — rzekł Węgierski — zacny stróżu tych pól — a bardziej tych murów, racz mnie posłuchać, słowo tylko.

To mówiąc, dla lepszego wyjaśnienia podał Hołodrydze talara, a na widok jego żebrak otworzył usta i zamilkł, pieniądz go skonwikował.

— Czego chcecie? — wyjąkała poczwara.

— Przysłał mnie tu pan Sieniński gospodarz, wszakże go nie ma? po panienki.

— Nie ma go! do panienki! a dobrze!

Obracając wciąż na dłoni talara, żebrak puścił szambelana bez dalszego sporu do środka, a Węgierski dawszy susa wprost do dworku skoczył. Chodziło mu o to tylko, by zblizka zobaczyć Anusię, otworzył drzwi i znalazł się na przeciw niej oko w oko, ale zdziwił trochę, widząc zamiast zalotnego, strojnego dziewczęcia, piękną, skromną, ale smutną, modlącą się panienkę, której wzrok dumy i powagi dziewiczej pełen, od razu go zmięszał. Anusia sądząc że chodzi o podczaszycy, że to jakiś poseł od niego, przybliżyła się do dworaka.

Ten właśnie szukał na prędce pretekstu do wytłómaczenia się z przybycia, gdy Anna sama mu podała środek wywikłania, uprzedzając pytaniem.

— Pan przychodzisz od podczaszycy?

— Zgadłaś pani, w istocie od podczaszyca.

— A cóż mi pan przynosisz? może pan czego żąda? potrzeba mu czego? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Kazał pani powiedzieć, kazał powiedzieć — jękał się Węgierski. — Co u diabła mógł mi kazać powiedzieć? — rzekł w duchu.

— Nowe niebezpieczeństwo pewnie! — łamiąc ręce zawołała Anna.

— Nie! nie, uchowaj Boże, owszem... jednakże widzi pani... głównie... kazał mi się dowiedzieć o jej zdrowiu.

— O zdrowie moje? — rumieniąc się z jakimś niedowierzaniem spytała Anusia — o mnie?

— Tak jest, dla czegoż to ją zadziwia?

— Bo niepodobna by teraz myślał o kimś obojetnym, gdy tyle ma o sobie do myślenia... cierpiąc i dręcząc się swoim losem. Powiedz mu pan żem zdrowa, że się modłę za niego, że Boga proszę gorąco aby go oswobodził...

I łza pociekła z pięknego czarnego jej oka.

Szambelan był drwiarz wielki, niewiara, sceptyk, ale człek gorącego serca — dotknęło go prawdziwe uczucie, na którem omylić się nie mógł, znając serce ludzkie — pożałował swej igraszki nawet i zły na siebie wyszedł z tego domu.

— Głupie jeneralisko! — zawołał za bramą — mylił się grubo, wziął jakąś cnotliwą pupilę, piękną ale chudą i czarniawą, za amantkę! wierz-że tym starym wygom, którzy wszędzie widzą kochanki, gdy ich już sami mieć nie mogą!

Ledwie ustąpił Węgierski, już do wrót cisnął się Zabiello, ale ten nie użył przekonującego talara i Hołodryga omal go kijem nie przepędził; nie lepiej powiodło się kilku innym. Mniej śmieli uwijali się przed oknami, a że przez kraty nie sposób było nic dojrzeć, klęli starą budowę.

Najprzebieglejszy i najzapaleńszy do tego rodzaju sztuczek pan podkomorzy Brański zrobił za pomocą Orlandiniego na przesmyku uroczystą znajomość z panem Kasprem i z nim razem ruszył do jego dworku pod pozorem, że jest budowniczym, że bardzo możny sąsiad chce kupić domostwo i obejrzenie mu polecił. Dowiedziawszy się zaś o słabostce starego do grosza, począł go tentować wielką sumą, którąby mu za dworek, bardzo do rozpoczęcia jakiejś kamienicy potrzebny, zapłacić mogli.

Kasper nic nie podejrzewając wiódł starostę wprost do siebie, z ukłonami bez końca, a ten mu duby smalone prawił o wartości jego dworku. Weszli nareszcie i trzeba widzieć było jak doskonale grał rolę architekta, jak po wszystkich kątach zaglądał, laską ściany wymierzał, mury sądował i rozważał sklepień strukturę.

Sieniński dał się zwieźć najzupełniej, zachwalając tylko rudera swoje.

— Dworek niepozorny — mówił żywo — ale niech pan zważy w jakim położeniu! przychód mi daje ogromny, procent jakiego w innych ulicach właściciele piętrowych kamienic nie mają... lekko szacując wart trzy... co ja mówię trzy?... cztery... a w rzeczy pięć tysięcy dukatów... może więcej.

— Stój kochany panie — przerwał podkomorzy Brański wchodząc do środka — jak tak pojedziesz trudno ci się będzie potem zatrzymać.

— Co to dla bogatego nabywcy — fraszka — rzekł oblizując się pan Kasper — a dla ubogiego, dla tak ubogiego jak ja człowieka.

— Jaktó ubogiego, kiedy dworek tak piękne panu robi procenta?

— Ale obciążonemu familją.

— A pan jesteś żonaty?

— Żonaty wyraźnie nie jestem — cofając się przed kłamstwem wyjąkał pan Kasper — ale gorzej, bo mnie blizcy obsiedli.

W tem weszli do pokoju w którym Anna modliła się jeszcze, rozmyślając o poselstwie podczaszyca — podkomorzy ujrzał ją, zdziwił się jak pierwszy, nie znajdując ani w postawie, ani w stroju czego się spodziewał — to jednak wcale go nie zraziło.

Anna wstała zapłoniona.

— Omyłka — rzekł w duchu podkomorzy — ale trafiłem lepiej niżem myślał, to brylant jeszcze nie tknięty!!

Piękność dziewczęcia uderzyła go silnie — jasne jej czoło dziewicze, oczy z taką przemawiającą siłą i szczerotą, zawróciły mu głowę do zbytku zawsze zapaloną.

Już dalej murów nie mierząc, izb nie rozpatrując, choć się Kasper napraszał, cofnął się podkomorzy rozmyślając głęboko, jak z najrzanego skarbu korzystać i jak go sobie przyswoić.

Inni mniej od niego zyskawszy, wieczorem gdy się przyszło obrachować z tego co dokazali, wszyscy niemal kłamać musieli, żeby się na śmiech nie wystawiać. Węgierski milczał tylko, podkomorzy zaś w najżywszych kolorach odmalował Anusię i na nowo zapalił tych co jeszcze jej widzieć nie mogli.

U pani starościny małogolskiej, u pani opeckiej nie mówiono tylko o sławnej już od wczora Anusi, która najniewinniej i nic o tem nie wiedząc, stała się celem rozmów i ciekawości. A że powtarzane wieści dziwnie w ustach rosnąć umieją i mienia się w dziwolągi, Bóg wie co prawiono o zamkniętej za kratą i pilnowanej przez garbatego Hołodrygę piękności.

Osnowały się różne intrygi, by ją zobaczyć, dostać się do niej, rozkochać ją, wykraść, a piękne panie ruszały ramionami, śmiejąc się z tych wysilen młodzieży, zajętej więcej Anusią niż najważniejszą sprawą sejmową. Ze wszystkich jednak rozplomienionych, podkomorzy brański najmocniej sobie głowę łamał i poprzysiągł, że podczaszycowi skarb jego wydrzeć musi.

## XV

Są ludzie, dla których najmniej miłym towarzystwem są własne ich myśli — męczą się niemi i nudzą, bo im powtarzają rzeczy niemiłe, oklepane, naprzykrzone. Radziby od nich uciec i szukają sobie byle jakiej rozrywki, byle jakiego towarzystwa, aby się wyrwać z objęcia tych dotkliwych dumań. Człowiek tylko wytrawny, co dobrze pracował nad sobą, obcować dłużej sam na sam ze swoim *ja* potrafi. Pospolici ludzie w niedostatku hałasu wolą sen i śmierć chwilową, niż tę walkę z nastęrczającymi im się myślami, płynącymi wśród ciszy wrzawliwym potokiem. Cóż się to z niemi dziać musi, gdy ich zmiana położenia, nieuchronna konieczność, postawi w takiej kolei, że uniknąć nie mogą trawienia się w sobie, i własnego towarzystwa? Przywykli do ciągłych roztargnień, do gwaru co im głuszy głosy wewnętrzne, nagle w ciszy osamotnienia znajdują się jak w pustyni otoczeni widziadłami, które stwarza milczenie i stepy. Rzucają się naówczas przerażeni bijąc jak zwierz dziki którego w klatce zamknięto, dopóki zraniwszy się o szczeble żelazne, nie legną zwyciężeni bezsilnością. Czasem z położen takich wychodzą ludzie lepszymi, gdy przetrwawszy ból i boleść, staną na szczeblu zgody z samymi sobą i głosem Boga, mówiącym im przez ich sumienie; często też padają pod ciężarem kajdan, gdy dusza nieprzygotowana poprzednim życiem, o swych siłach ostać się nie potrafi. Samotność bywa wielką podniętą do dobrego, ale wielkim niebezpieczeństwem.

Wszystkie tam widziadła przeszłości występują na niej szeregiem, wszystko co człowiek utracił, czego nie posiadał, co przeboleł, co mu z rąk dotknięte ledwie uciekło, — dręczy go, wabi, niepowrotnością zrozpacza. W szal czasem obraca się ta rozmowa z sobą, gdy jej dusza i serce nie podolają — rozpręgną się myśli rozkiełzane, poniosą, polecą — nie połapać ich już potem.

Samotność, powiedział ktoś z chrześcijańskich pisarzy, dobra jest tylko z Bogiem, bez niego szatani ją zaludniają.

Wyobrazić sobie można co się działo z podczaszycem, za którym nagle zamknęły się drzwi klasztorne, za nim, co nie znał zamknięcia i samotności, nie próbował myślenia, nie chciał zastanawiać się nad sobą, pragnął używać nie pytając końca, bo weń nie wierzył, lub spojrzeć mu w oczy nie czuł odwagi. Sam z sobą, z książką pobożną, z widokiem smętnym, z drażniącym zdala gwarem ulicy, którą słyszał widzieć nie mogąc, z bliższym szmerem modlitwy, niekiedy chwilową rozmową z ks. Spirydjonem — jak ten zwierz do któregośmy porównywali samotnika, bił się o mury ciasnej celi, nie mogąc w niej niepokoju swego pomieścić. Przywykli do gwaru, utonął tu w głuchym milczeniu — coraz to chwycił książkę, ale słowa w niej nie rozumiał, bo ona i on daleko byli od siebie.

Całym zapasem były dlań wspomnienia przeszłości, ale wypadkiem dziwnym, on, co wedle siebie począł dopiero żyć w mieście i to, jak mówił, świata skosztował, kiedy szedł czerpać z skarbnicy pamiątek, we wspomnieniach tych chwil szafu, znajdował tylko martwe, zeschłe szczęty, z których na pokarm dzisiejszy kropli nie umiał wycisnąć. Myśl

jego musiała się zwracać do epoki życia, na pozór dlań puste, czczej i bezbarwnej, na której grobie kwitły mu jeszcze pełne woni kwiaty.

Z życia wczorajszego, jak po spalonym fajerwerku, nic nie pozostało prócz trochy swędu i dymu — z tych miłostek kilkudniowych, z tych zabaw odurzających, z tych szalonych nocy strawionych z kielichem, wrzących ochotą, proch został i śmiecie — a z chwil młodości, z dzieciństwa, przywalonych całym ciężarem drugiego życia, do których nie przywiązywał ceny, czerpał dziś jeszcze napój rzeźwiący. Do tej przeszłości dawno minionej, zabytej i sponiewieranej, zwracać się musiał co chwila. Serce czy myśl wiodły go do Głuszy, do pokoiku babki, pod straszny obraz patrona, na ów mały stołeczek na którym siadał u nóg starościny, słuchać jej nauk i powieści — do Anny i dziecięcych z nią zabawek, których dziś, zawczasu zgrzybiały się wstydział, a wstydzając się, żył jeszcze niemi pokryjomu! Taka to siła chwil życia pocziwych, że przeżyte, jeszcze w sobie mają soki pożywne, — gdy lata poświęcone nasyceniu, płoną na popiół i rozchodzą się z dymem.

Bolał Ordynski w tem zamknięciu, targając próżno więzy swoje — ale cóż począć było? nie mógł przespać dni całych, musiał je przedumać samotnie. Czasem wychodził na korytarze klasztorne, żeby zyskać więcej przestrzeni i szersze miejsce przebiegać niespokojnymi krokami, — ale i tu myśl jego biła się o obrazy, o pojęcia, czyny dziwne sprzeczne z tem do czego był nawykł w swem życiu.

Na tych długich osłonionych krużgankach, spotykał wizerunki świętych mężów, powagę śmierci otoczonych, z których lica były światłości, przeszłość ofiar i modlitwy. Napróżno chciał się uśmiechnąć wpatrując w te oblicza, myśląc w duchu: To byli ludzie jak my!

Oczy ich, czoła, usta, suknie nawet mówiły że to nie dzisiejsi i nie pospolici byli ludzie, — ugiął głowę mimowolnie i mijał ich niespokojny. Spotykał dalej obrazy męki Chrystusa, które do oziębłego serca nic jeszcze przemówić nie mogły — czytał napisy pełne pobożności, namaszczenia, lub groźby przerażającej — ale rzadko co doszło przez oczy omglone do duszy jego, częściej uśmiech szyderski błąkał się jeszcze po ustach. Obawiał się nawrócić, aby śmiesznym nie został!

W końcu korytarza po którym najczęściej, nie chcąc być widzianym, przechadzać się musiał podczaszyc, był wielkimi głoskami napis pełen rzewności i głębokiego uczucia, który nieustannie w oczy mu wpadając, utkwiał nareszcie w pamięci, tak, że pozbyć się go nie mógł, bo mu wciąż mimowolną modlitwą na ustach się błąkał.

Trafia się, samotnikom zwłaszcza, że wyraz jakiś, dźwięk, słowo, twarz tak uwięzną w nich, jak uparta kość co w gardle zastrzęgnię, i pozbyć się ich nie można. Czasem to igraszka wyobraźni, dzieło próżnowania, częściej odpychana i nie pojęta przestroga. Podczaszyc tak właśnie męczył się tym napisem jak zadławiony kością, choć go powinien był ukochać i zapamiętać. Pobożny ten wykrzyk jak widać zakonnik wrył tu dla przechodzących u stóp Chrystusowego krzyża, aby go powtarzali jako najstosowniejszą do czasów modlitwę. Były to słowa z głębi duszy wyrzeczone, natchnione razem uczuciem ascetycznym i miłością kraju pogrążonego w zepsuciu i chwiejącego się nad przepaścią.

*Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos!*<sup>1</sup>

Podczaszyc skłonny do pochwylenia co mu oko przyniosło, nie mógł się zbyć tej modlitewki, powtarzał ją, przekręcał, gniewał się na siebie, zasypiał z nią na ustach i budził szepcząc znowu... Niekiedy męczyła go do zniecierpliwienia, ale im mocniej chciał się jej pozbyć, tem uparciej mu ona wracała. Może Anioł-stróż włożył ją w usta biednego szaleńca jak zaschłe rzucając nasionko, z którego kiedyś spodziewał się owocu i kwiatu.

W samotności klasztornej, w ciągu dni długich które tu przeżywał, podczaszyc więcej się męczył niż ulepszal. Z rozmów nawet z ojcem Spirydjonem, korzyść nie mogła być zrazu wielka — aby orać wołem, trzeba mu wprzód jarzmo włożyć, a jarzma tego nie chciał wdziać biedny młodzieniec, tak jeszcze rozhukana dusza i umysł do szyderstwa nawykły, wzbraniał się przyjąć wszelką prawdę, którejby rozebrać nie potrafił. Najlepsze chęci głupi wstyd w nim zabijał. Jedną tylko drogą kierował się powoli ku ścieżce co go z błędu wywieść mogła, a tą było wspomnienie staruszki i lat młodszych. Coraz też

<sup>1</sup>*Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos!* — napis podobny znajduje się na pięknej figurze w lesie pod Zawieprzycami, w Lubelskiem. [przypis autorski]

częściej zwracał się ku nim — raz nawet, dobrze że nikt nie widział, bo by się zagryzł był wstydem, ła jakaś niedojrzała zaszła mu oczy. Otarł ją, żywo się oglądając i śmiechem jak kamieniem źródło jej przywalił, żeby nie trysła więcej...

Rzadko go kto odwiedzał, oprócz ojca Spirydjona, ale ten miał tyle zatrudnień około nieszczęśliwych po więzieniach, przy ubogich, że wiele czasu poświęcać mu nie mógł. Co mu zbyło tylko od obowiązków, dzieląc na modlitwę, rozmyślanie i rozmowę z Ordyńskim, rzadko mógł dłużej nad chwilę z nim pozostać.

Od godzin rozmyślania, modłów i pokuty nawet odrywał się czasem dla niego, ale w przędcie spostrzegł że tu natrętnym być nie można w nawracaniu.

Potrzeba było żeby chory sam zawołał nareszcie o lekarstwo, badał tylko stan jego duszy i cierpliwie oczekiwał. Wiedział starzec że niewiele warte nawrócenie gdy ku niemu wola się grzesznego nie skłoni sama; co tylko skutkiem szczególnej łaski, usilnej pracy nad sobą lub powolnego wpływu otaczających być może.

Gwałtu dusza nie cierpi, bo natura jej wszelką przemoc odtrąca — jest to istota swobodna, której oddane panowanie nad sobą, całych przyszłych zasług jest nasieniem.

W początkach niecierpliwił się podczasyc, warczał, zżymał, tęsknił, dopytywał o świat który przeciętko o nim zapomniał, zesmutniał potem, zamyślał się i wpadł na te ożywiające wspomnienia młodości, których zdroj po długim zapomnieniu znalazł płynący jeszcze. Z oczu jego wyczytał zmianę stanu duszy stary kapucyn, bo dostrzegł w nich rozrzewnienie pocziwsze, smutek, tęsknotę do rezygnacji już bliską.

— Łaska Boża działa — rzekł — dajmy mu czas by się zwyciężył.

I jak był przywykł zakonnik, wchodził co dzień do celi z uśmiechem na ustach, z tabaczką w ręku, wesół, rubaszny czasem, pełen słodyczy i dobroci, opromieniony pokojem niezmiernym. Czasem gdy się go jeszcze podczasyc o świat dopytywał, zbył go żarciem tylko.

— Kochany panie Michale — mówił — a cóż chcesz bym ci o świecie powiedział? Mój świat a jegomości to antypody! Co ja tam wiem jak się bawią, szaleją i lata czyśca lub wieczności piekieł zapracowują w pocie czoła! mnie dopiero wzywają, kiedy już naczynie potłuczone, a płyn drogi cieczy z niego, niestety!! często, na czarna brudną ziemię... coby miał od słońca miłości Bożej wyparować do góry i niebios! Mój świat, kochany podczasycu, to ci nieszczęśliwi, których nie ma dnia żeby na wieczność nie dysponował, a na których twarzach albo zatwardziałość zbrodni, albo rozpacz i zgryzota się malują. Ot wczoraj dwóch z mojego świata powiesili, dziś dysponowałem na stracenie kobietę co męża otruła... widzisz, wiele to świata mojego. I co ci po nim? A że karety pańskie i królewskie po bruku huczą, że się tam magnaci przejeżdżają, a pałacu do pałacu, po teatrach i skoczkach, myślisz że na to patrzę? Skończy się to jak wszystko — dzwonkiem, gromnicą i litanią przy konających.

Podczasyc westchnął. Widział on już pomimo powabu, jakimi go życie porzuczone pociągało ku sobie, ile w nim było fałszów i szychu, wśród pozornych świecideł. Ale że poprawa stokroć jest zawsze trudniejsza od zepsucia, jak zniszczenie łatwiejsze od zbudowania, trudno mu było wybrnąć z drogi na której daleko się zabłąkał. Klasztor, zamknięcie, echo modlitwy, żywot mniszy, podzielać nań tak rychło nie mogły — postacie, które tu spotykał dziwiły go, niecierpliwiły, śmieszyły, wpływu nań nie miały, bo jeszcze większa od niego dzieliła je przestrzeń, niż łagodnego ojca Spirydjona. By się dwie dusze zrozumieć mogły, potrzeba między nimi jakiegoś punktu zetknięcia, choćby niedostrzeżonej nici pajęczej, coby je z sobą wiązała. Ten nici wysnuć nie chciał Ordyński.

Zbliżała się może chwila odrodzenia, ale jeszcze nie była przyszła, rozrzewnienie tylko, jak rosa, dzień i wschód jasny poprzedzająca, oblało duszę łąką srebrzystą — ale słońce nie rozjaśniło niebios jeszcze i szary zmrok okrywał smutnym całunem bezbarwne przeszczenie.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-diabel-tom-iii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Djabeł: powieść z czasów Stanisława Augusta*, tom III, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa: M. Glücksberg, 1873 ([Lwów]: K. Piller).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0426-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.